



GIOVANNI BOCCACCIO

---

**Dekameron, Dzień  
piąty**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

## Dzień piąty

TŁUM. EDWARD BOYÉ

### OPOWIEŚĆ PIERWSZA. PODWÓJNE PORWANIE

*Cymon, zakochawszy się, rozumnym czelkiem się staje i porywa na morzu umiłowaną swą Ifigenię. Na wyspie Rodos dostaje się do więzienia, z którego uwalnia go Lysimachus. Obaj razem porywają Ifigenię i Kasandrę w czasie ich wesela i uciekają z nimi na Krete; później z nimi, jako żonami swymi, do ojczyzny zostają przyzwani.*

Już wschód w srebrzystej stanął bieli i słońce promieniami swymi całą naszą półkulę oświeciło, gdy Fiammetta, zbudzona wdzięcznymi śpiewy<sup>1</sup> ptaków, zwiastujących z drzew i krzewów pierwszą dnia godzinę, wstała i resztę towarzystwa obudzić kazała. Zebrawszy się, udali się na przechadzkę. Wolnym krokiem zeszli w pola i przechadzali się po rozległej dolinie wśród pokrytych rosą traw, wesoło gwarząc o rzeczach różnych, póki słońce nie stanęło wyżej na niebie. Gdy słoneczne promienie żarem tchnąć poczęły, towarzystwo do domu powróciło, aby pokrzepić się wybornym winem i różnych słodczy skosztować. Potem, do obiadu, wszyscy w ogrodzie rozkosznym się zabawiali. Gdy czas obiadu nadszedł, marszałek wszystko do posiłku przygotował. Na rozkaz królowej zagrano na cytrze i kilka piosenek odśpiewano, a potem towarzystwo ochoczo do stołów zasiadło. Po wesołym, ale pełnym umiaru obiedzie wedle obyczaju poczęli tańczyć przy dźwięku instrumentów. Wreszcie królowa wszystkich na spoczynek odpuściła. Niektórzy legli na łoża, inni zasię<sup>2</sup> ostali w ogrodzie, aby różnym rozrywkom się oddawać. Gdy nadeszła godzina dziewiąta, wedle obyczaju wszyscy zebrali się koło fontanny. Królowa, pierwsze miejsce zajmąwszy, spojrzała z uśmiechem na Panfila i rozkazała mu rozpocząć szereg wesołych opowieści. Panfilo, posłuszny wezwaniu, zaczął w te słowa:

— Miłe damy! Wiele znam opowieści, którymi wesoły dzień dzisiejszy zacząć by było można, ale jedna z nich szczególnie mi do smaku przypada, nie tylko bowiem szczęśliwie się kończy, czego materia naszych opowieści dzisiaj wymaga, lecz i okazuje dowodnie, jak świętą, potężną i dobroczynną jest moc miłości, która wiele ludzi niewiedzących, co mówią, ośmiela się najniesłuszniej ganić i przeklinać. Mniemam, że wszystkie tutaj zebrane miłujecie; dlatego też historia moja przypaść wam winna do serca.

„Z starożytnych kronik wiadomo nam, że na wyspie Cypr żył ongiś człek szlachetnego rodu, zwany Aristippem, z którego mieniem mienie żadnego z jego współziomków w paragon<sup>3</sup> wchodzić nie mogło. Los mu wielce sprzyjał we wszystkich krom<sup>4</sup> jednej rzeczy, która mu wiele smutku przyczyniała. Jeden z jego synów, urodą i postacią nad braćmi swymi górujący, miał wielce tępe przyrodzenie<sup>5</sup> i żadnych nie budził nadziei. Młodzieńca tego zwano Galeso. Chocia preceptor<sup>6</sup> starań i trudów, a rodzic pieścił i plag nie litował<sup>7</sup>, nie sposób mu było wbić w głowę czy to litery alfabetu, czy zasady

<sup>1</sup>wdzięcznymi śpiewy — dziś popr. forma N.lm: wdzięcznymi śpiewami. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>w paragon wchodzić (daw.) — iść w zawody; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>preceptor (daw.) — wychowawca, nauczyciel. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>litować (daw.) — tu: żałować, skąpić. [przypis edytorski]



przystojnych obyczajów. Głos jego pozostał grubym i chrapliwym, a zachowanie godniejsze bydlęcia niż człowieka. Dlatego też nazwano go kpiąco Cymonem, co tyle znaczy w tamtejszym języku, ile u nas »bałwan« lub »bydlę«. Nieszczęśliwy ojciec płakał gorzko nad losem syna, aż wreszcie, straciwszy wszelką nadzieję uszlachetnienia go, wysłał go na wieś, aby tam z parobkami przestawał, nie chciał bowiem mieć ciągle na oczach ciężkich swoich zmartwień powodu. Cymon wielce się z tego ucieszył, bowiem obyczaje wspólstwa bliższe mu były niżli obyczaje ludzi polerownych<sup>8</sup>. Udał się zatem na wieś i tam gospodarstwem się zajął. Pewnego dnia po południu szedł z kijem na ramieniu z jednego folwarku na drugi. Był maj. Droga szła przez piękny gaj, który w tej porze roku stał w zieleni. Ani chybi, sam los jego krokami kierował. Przechodząc przez łączkę, otoczoną wysokimi drzewami, obaczył wielce urodziwą młodą dziewczeczkę, śpiącą obok źródła tchnącego świeżością. Cienka, przezroczysta szata, okrywająca śpiącą dziewczeczkę, pozwalała dokładnie rozróżnić jej piękne kształty. Śnieżnej białości okrycie szczelniej ją zasłaniało tylko od pasa do nóg. U stóp jej spoczywały dwie białogłowy i mężczyzna, wiadać na służbie u niej pozostający. Cymon jakby po raz pierwszy w życiu obaczył kształtne członczki niewieście; oparty na kiju, w niemym osłupieniu przypatrywał się dziewczecze długo i uważnie. I oto nagle w jego nieokrzesej duszy, której tysiączne usilne starania uszlachetnić dotąd nie zdołały, zrodziła się myśl, że dziewczę to jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek śmiertelny wzrok mógł ujrzeć. Tak myśląc zważał pilnie wszystkie jej ciała ponęty, podziwiał prześliczne jej włosy, które mu się złotymi wydawały, czoło, usta, nos, szyję i ramiona, w szczególności zaś dziewicze piersi, nie całkiem jeszcze rozwinięte. Przedzierzgnąwszy się nagle z gburą w wielbiciela piękności, jął<sup>9</sup> pragnąć gorąco, aby dziewczeczka otworzyła oczy, głębokim snem zamknięte. Kilka razy przychodziła nań pokusa obudzenia młódki, iżby je zobaczyć; aliści<sup>10</sup>, jako że zdała mu się ona od wszystkich widzianych białogłów piękniejsza, nie śmiał tego uczynić, ze strachu, że mógłby w niej jakąś boginię obrazić. Wiedząc tyle, że niebiańskie istoty mają większe prawo do czci niżli ziemskie, postanowił zaczekać, aż dziewczeczka sama oczy otworzy. To oczekiwanie męczyło go, jednakże zatopiony w rozkoszy nie ruszał się z miejsca. Wreszcie dziewczeczka, którą Ifigenią zwano, ocknęła się wcześniej od swych towarzyszy, podniosła głowę i obaczywszy Cymona, który stał przed nią, na lasce oparty, wielce się zdziwiła i rzekła:

— Czego szukasz, Cymonie, w gaju o tej godzinie?

Cymon znany był w tej okolicy każdemu, dzięki swojej urodzie, głupocie i bogactwu swojego ojca. Nie odparł on nic na pytanie Ifigenii, jeno<sup>11</sup> wpatrywał się uparcie w jej oczy, bowiem zdało mu się, że spływa nań z nich jakaś niewymowna słodycz, dotychczas mu nieznaną. Dziewczeczka spostrzegła to, a obawiając się, aby dzikus od tak osobliwego wpatrywania się w nią nie przeszedł do jakichś nieobyczajnych ruchów, podniosła się, zawołała na służbę swoją i rzekła:

— Bądź zdrow, Cymonie!

Cymon jednak, nie chcąc odejść, odparł:

— Pójdę z tobą!

I chociaż młódka, wciąż jeszcze mu niedowierzająca, przystać na to nie chciała, pozbyć się go nie mogła i młodzieniec aż do samego domu ją odprowadził. Po czym udał się natychmiast do swego rodzica i oznajmił mu, że pod żadnym warunkiem dłużej na wsi nie pozostanie. Ojcu i krewniakom wielce to nie po myśli było, pozwolili mu jednakże wrócić do miasta, ciekawi byli bowiem dowiedzieć się, co tak jego gusty odmieniło. Cymon zaś, którego serce, żadnemu wpływowi dotąd nieprzystępne, piękność Ifigenii strzałą miłości przeniknęło, w krótkim czasie ojca swego, krewniaków i wszystkich znajomych w zadziwienie wprowadził. Naprzód bowiem poprosił ojca, aby dał mu te same stroje i ozdoby, co jego braciom, na co ojciec zgodził się z radością. Potem jął przestawać z młodzieńcami wykształconymi, uczył się od nich obyczajów i dworności, które szlachetnie urodzonym ludziom, a zwłaszcza kochankom, przystoją, i w ten sposób, ku powszechnemu zadziwieniu, w krótkim przeciągu czasu nie tylko samych liter się nauczył, aliści stał się i w filozofii uczniem wielce biegłym. Wszystko to było skutkiem jego miłości do

<sup>8</sup>polerowny — cechujący się oglądą towarzyską i wykształceniem. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Ifigenii. Wkrótce nie tylko głos gruby i prostacki przemienił w miły i pełen oglady, ale opanował kunszt śpiewu i grę, stał się zawołanym jeźdźcem i we wszelkich wojennych ćwiczeniach na lądzie i morzu celować począł. Nie będę się tutaj szerzył<sup>12</sup> nad wszystkimi jego przymiotami, powiem jeno, że i cztery lata nie minęło od dnia, w którym się zakochał, a już młodzieży cypryjskiej wykształceniem i szlachetnymi obyczajami przodował. Cóż więc, urodziwe panie, rzecz będziemy mogli o tym Cymonie? Ani chybi, pomyśleć musimy, że w jego niepospolitej duszy kryły się bogate dary niebios, które zawistna fortuna w najsilniejszych pętlach w małym zakęcie jego serca trzymała; dopiero Amor, od fortuny potężniejszy, łańcuchy te rozerwał. Bóg miłości, co budzi drzemiące talenta, rozproszył mgłę i umysł jasnym światłem oświecił, chcąc pokazać, z jakich otchłani może ducha człowieczego wydobyć, aby jego przymioty w niezaćmionym przedstawić blasku. Chociaż Cymon, jak to pospolicie z zakochanymi młodzieńcami się zdarza, w objawach swej miłości do Ifigenii nieraz miarę przechodził, jednakże ojciec jego wszystko to cierpliwie znosił; owszem, zważywszy, że Amor syna jego z barana na człowieka przemienił, zachęcał go sam do miłości. Młodzieniec przez pamięć, że Ifigenia przy pierwszym spotkaniu Cymonem go nazwała, zatrzymał to imię, zamiast właściwego, Galeso. Cymon, pragnąc miłość swoją uwieńczyć, kilkakrotnie udawał się do Cypsea, ojca Ifigenii, aby go o jej rękę poprosić. Aliści Cypseo odpowiadał zawsze, że przyrzekł był ją już młodemu rodyjskiemu szlachcicowi, Pasimundzie.

Gdy nadszedł dzień ułożonych zaślubin, narzeczony przysłał po Ifigenię. Wówczas Cymon rzekł do siebie: »O Ifigenio, teraz przyszła stosowna pora, w której dowieść należy, jak cię miłuję. Dzięki tobie człowiekiem się stałem, a jeśli cię teraz posiadę, zaiste za równego bogom się poczytam! Albo będziesz należała do mnie, albo zginę«.

Zwoławszy w tajności na naradę kilku przyjaciół, uzbroidł okręt, wyruszył na nim na morze i jął oczekiwać na statek, który miał odwiedzić Ifigenię na Rodos do jej męża.

Tymczasem ojciec młodej dziewczyny, przyjąwszy z wielką czcią wysłańców swego przyszłego zięcia, oddał im Ifigenię, a statek, wypłynąwszy na morze, skierował swój dziób ku Rodos. Cymon, niezasypiający sprawy, dopadł go następnego dnia. Zbliżywszy się do korabia, zawołał wielkim głosem:

— Zatrzymajcie się i zwińcie żagle, jeżeli nie chcecie zginąć w głębi morza!

Na ten okrzyk Rodyjczycy porwali za broń i do walki się przygotowali. Cymon zarzucił hak żelazny na tył rodyjskiego statku, który uchodził pośpiesznie, i przyciągnąwszy go do dzioba swego okrętu, skoczył nań z odwagą lwa, nie oglądając się nawet, czy kto idzie w jego ślady, i nie zważając na liczbę wrogów swoich. Miłość dodała mu sił. Z nożem w rękę rzucił się w sam środek nieprzyjaciół, którzy wokół niego, ranni i martwi, padali jak barany. Wreszcie Rodyjczycy, grozą przejęci, rzucili broń i za zwyciężonych się uznali, błagając Cymona, aby ich wziął w niewolę. Wówczas Cymon rzekł do nich:

— Młodzieńcy! Nie żądza łupu ani nienawiść do was pobudziła mnie k'temu<sup>13</sup>, że opuściwszy Cypr z orężem w rękę tu, na morzu, na was napadłem. To, co jest dla mnie najdrogocenniejszym skarbem i co mi na czyn ten porwać się kazało, łatwie<sup>14</sup> i bez zwady otrzymać od was mogę. Miłuję Ifigenię ponad wszystko, a jeśli siłą z rąk waszych ją biorę, to winien temu jest jej rodzic, który mi jej po dobrej woli dać nie chciał. Stanę się dla niej tym samym, czym chciał być wasz Pasimunda. Oddajcie mi ją i ruszajcie z Bogiem!

Rodyjczycy raczej z konieczności niż z dobrej woli oddali Cymonowi płaczącą Ifigenię. Cymon, ujrawszy ją we łzach, zawołał:

— Nie trap się, najmilsza! Jestem twoim Cymonem, który wytrwałą miłością swoją więcej praw do ciebie zyskał niżli Pasimunda dzięki obietnicy rodzica twego.

Po czym, nie tknąwszy nic z własności Rodyjczyków, rozkazał przeprowadzić dziewczkę na swój pokład, wrócił sam na statek i odpłynął.

Cymon, niezwykle uradowany z tak drogocennej zdobyczy, ze wszystkich sił starał się pocieszyć Ifigenię. Potem zwołał na radę towarzyszy swoich i spytał, azali bezpiecznie będzie na Cypr powrócić. Wszyscy osądzili, że lepiej będzie ku Krecie się obrócić, gdzie niemal każdy z nich, a zwłaszcza Cymon, dzięki dawnym i nowym związkom, wielu przyjaciół i znajomych posiadał i gdzie, jak sądzili, mogli być z Ifigenią bezpieczni. Aliści

<sup>12</sup>*szerzyć się* — tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*k'temu* (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*łatwie* — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

niestała fortuna, która tak łatwo<sup>15</sup> pozwoliła mu ovladnąć umiłowaną dziewczętką, nagle niezmierną radość zakochanego młodzieńca w gorzki smutek przemieniła. Nie upłynęły bowiem jeszcze cztery godziny od chwili napaści na rodyjski korab, gdy nastąpiła noc, od której Cymon najwyższej, nieznaney mu jeszcze rozkoszy się spodziewał; aliści<sup>16</sup> podniósł się wiatr gwałtowny, niebo się zamroczyło chmurami i całe morze strasznie się poburzyło. Nikt nie wiedział, co począć ani w którą stronę okręt płynie; marynarze, spełniając swoją służbę, z trudnością na nogach się utrzymywali. Jak głęboko się tym Cymon strapił, mówić nawet nie trzeba. Zdało mu się, że bogowie tylko dlatego jego marzenie spełnili, aby silniej odczuł teraz okropność śmierci, która go dawniej nie straszyla. Towarzysze jego także w głos się skarżyli, ale najżałośniej zawodziła Ifigenia, płacząca i drżąca całym ciałem przy każdym pochyleniu się okrętu. W rozpacznych słowach przeklinała miłość Cymona i wyrzekała na jego zuchwalstwo, twierdząc, że gniew bogów jest przyczyną tej burzy, bowiem bogowie nie chcą, aby Cymon, wzbity w pychę, wbrew ich woli za małżonkę ją pojął, postanowili naprzód ją życia pozbawić, a potem i jego uśmiercić. Wiatr tymczasem dał z coraz większą siłą, tak iż marynarze całkiem głowy potracili.

Gdy tak wszyscy nie wiedzieli, dokąd płyną, okręt zbliżył się do brzegów Rodosu. Marynarze, nie domyślając się nawet, że to Rodos, i widząc brzeg ziemi, wszelkich wysiłków dokładali, ażeby na ląd się dostać i życie uratować. Los był im w tej mierze przychylny, wiatr zagnał okręt do małej zatoki, do której niedawno zawinał był okręt z Rodyjczykami. Dopiero gdy świt nastał i zorza na niebie błysnęła, towarzysze Cymona ujrzeli okręt Rodyjczyków, stojący od nich nie dalej jak na strzał z łuku. Na ten widok Cymon przeraził się niewymownie i rozkazał wszelkich sił ku temu dołożyć, aby buchtę opuścić, choćby potem i przyszło zdać się na losy przeciwnie, nigdzie bowiem groźniejsze niebezpieczeństwo na nich czekać nie może. Wszystkie ich wysiłki jednakże daremne były; okrutny wichur dał tak silnie, że nie tylko wyjść im na pełne morze nie dozwolił, ale mimo rozpaczego oporu, do lądu ich przyparł. Gdy tylko do brzegu się przybliżyli, natychmiast marynarze rodyjscy ich poznali. Kilku z nich pobiegło do pobliskiego grodu, aby uwiadomić młodych panów rodyjskich, którzy już pierwsi na ląd wyszli, że Cymon z Ifigenią zostali przygnani burzą do tego samego miejsca co i oni. Szlachcice rodyjscy, niezmiernie tą wieścią uradowani, zebrawszy liczną gromadę uzbrojonych ludzi, pobiegli na brzeg morski. Tymczasem Cymon i jego ludzie, opuściwszy pokład, postanowili w pobliskim lesie schronienia szukać, aliści pochwyciono ich wraz z Ifigenią i do wsi odprowadzono. Pasimunda na wieść o tym wniósł skargę przed senat rodyjski. Senat wysłał Lysimacha, będącego w tym roku wielkorządcą Rodosu, z mnogim oddziałem żołnierzy, aby stamtąd Cymona wraz z jego towarzyszami do więzienia przeprowadził. Takim oto sposobem postradał nieszczęśliwy Cymon ledwie pozyskaną Ifigenię, nie otrzymawszy od niej nic więcej od kilku pocałunków. Ifigenię powitały ze czcią szlachcianki rodyjskie, starając się zatrzeć w jej pamięci wrażenia niewoli i strachu, przeżytego przez nią w czasie burzy, i zajmując się nią troskliwie aż do dnia naznaczonego na zaślubiny.

Pasimunda wielce się o to starał, aby Cymon i jego towarzysze na śmierć skazani zostali, jednakże szlachta rodyjska, z którą ów tak łaskawie się był obszedł, wolność jej powracając, nastawała na to, aby życie im darowano, skazując ich jeno<sup>17</sup> na wieczyste więzienie. Cymon z towarzyszami znalazł się tedy<sup>18</sup> w lochu, gdzie wiek swój trawił w rozpacz, nie mając żadnej nadziei na wyzwolenie. Tymczasem, gdy Pasimunda z przygotowaniami do wesela się śpieszył, los, jak gdyby żałując krzywdy Cymonowi wyrządzonej, przyszedł mu z nieoczekiwaną pomocą.

Pasimunda miał młodszego, ale nie mniej godnego brata, imieniem Ormida, który przez długi czas ubiegał się o rękę pewnej pięknej i szlachetnej dziewczycy, Kasandry zwanej. Ową Kasandrę miłował także Lysimachus; Pasimunda, przygotowując wielkie uroczystości na dzień swych zaślubin, pomyślał, że dla uniknięcia niepotrzebnych wydatków i straty czasu, dobrze będzie jednocześnie z swoim weselem wesele Ormidy odprawić. Porozumiał się tedy raz jeszcze z rodzicami Kasandry i skłonił ich do tego, iż Ormidę za zięcia przyjęli, zgadzając się na dopełnienie zaślubin tego samego dnia. Lysimachus,

<sup>15</sup>latwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

dowiedziawszy się o tym postanowieniu rodziców Kasandry, niszczącym wszystkie jego nadzieje, niepomrotnie się strapił; dotychczas bowiem spodziewał się ciągle, że jeśli Ormisdzie odmówią, to on Kasandrę dostanie. Jednocześnie, jako człek wielce roztropny, z gniewem swym się nie zdradził, ale ją<sup>19</sup> rozmyślał nad tym, jak by wykonaniu tych zamysłów przeszkodzić, wreszcie postanowił, że jest tylko jeden środek: porwanie Kasandry. Sprawa ta wydała mu się łatwa ze względu na godność, jaką piastował, ale bardziej z tego powodu występna.

Po długiej walce dusznej<sup>20</sup> cześć ustąpiła wreszcie miejsca miłości i Lysimachus postanowił uprowadzić Kasandrę, choćby go to i życie kosztować miało. Głowiąc się nad tym, czyją pomoc mógłby tu sobie zapewnić i jak do rzeczy przystąpić, wspomniawszy o Cymonie, który pospołu z towarzyszami w lochu siedział. Lepszych i wierniejszych pomocników w tym wypadku znaleźć by nie mógł. Najbliższej nocy rozkazał tedy tajnie ich do siebie przywieść i rzekł do nich w te słowa:

— Cymonie! Bogowie, rozdzielający łaskawie i hojnie dary swoje między śmiertelników, lubią także często cnotę ich na twarde próby wystawiać. Tych, których w losie niestatkach stałymi i nieugiętymi znajdują, obdarzają nagrodą najwyższą, bowiem uważają ich za zasługujących ze wszech miar na nią. Dlatego też i ciebie postanowili doświadczyć w większej mierze, niżby to było możliwe, gdybyś przebywał w domu ojca swego, który, jak słyszę, jest pono wielce bogatym człowiekiem. Naprzód tedy, jak powiadają, serce twoje zapaliło się pragnieniem miłości, która z grubego zwierzęcia w człowieka cię przemieniła; potem nieszczęsnych przygód i więzienia zaznać musiałeś. Bogowie drogą tych doświadczeń uznać pragną, czy duch twój silnym pozostał, takim, jakim był wówczas, gdyś się radował, zdobywcą owałdnawszy. Jeśli jest tak w samej rzeczy, to bogowie gotowi są obdarzyć cię najwyższym szczęściem, o czym chcę cię uwiadomić, abyś już teraz dawne siły ducha w sobie skrzepił. Otóż Pasimunda raduje się z zwycięstwa swego nad tobą i chciał, byś śmierć poniósł, a teraz przyśpieszyć się stara związek swój z Ifigenią, którą los już raz tobie oddał po to, aby ją ci nagle odebrać. Jak nad tym boleć musiałeś, wiem najlepiej ja, bowiem podobne cierpienia znoszę. W tym samym dniu co ciebie i mnie okrutny los ma spotkać: obaczę Kasandrę żoną Ormisdy, który jest bratem wroga twego. Jeden tylko widzę środek, aby móc do podobnej niesprawiedliwości fortuny nie dopuścić: z orężem w ręku porwać musimy umiłowane przez nas białogłowy. Powrócona ci wolność bez Ifigenii wielkiej wartości, jak tuszę<sup>21</sup>, dla ciebie mieć nie może; aliści<sup>22</sup> odzyskanie niewiasty tej kładą ci w ręce bogowie, jeżeli chcesz wziąć udział w tym, co zamierzyłem.

Słowa te powróciły Cymonowi straconą otuchę. Nie namyślając się długo, odparł w te słowa:

— Lysimachu! Nie znajdziesz wierniejszego i mężniejszego pomocnika niżli ja. Rzeknij mi tylko, co mam uczynić, a obaczysz, że dokonam wszystkiego z nadprzyrodzoną prawie siłą.

— Za trzy dni — rzekł Lysimachus — młode oblubienice mają wstąpić do domu swoich mężów. Wieczorem tedy<sup>23</sup>, ty ze swymi towarzyszami, a ja z oddziałem zbrojnych, którym ufam najbardziej, wtargniemy do wnętrza domu o zmierzchu, porwiemy nasze umiłowane od biesiadnego stołu i uprowadzimy je na okręt, który już tajemnie przygotować kazałem. Kto nam na wstręcie stanąć<sup>24</sup> się odważy, zginie nędznie!

Zamyśl ten wielce się Cymonowi podobał. Powrócił spokojnie do więzienia i jął czekać na dzień oznaczony. Nadszedł wreszcie dzień zaślubin. Zaczęła się wspaniała uczta i cały dom obu braci wesołością rozbrzmiewał. Tymczasem Lysimachus wszystko już przygotował. Cymon, jego towarzysze i przyjaciele Lysimacha otrzymali broń, którą pod szatami ukryli. Lysimachus gorącymi słowami<sup>25</sup> do walki ich zagroził, a potem na trzy hufce podzielił. Pierwszy ostawił w przystani, aby nikt w stosownej chwili na okręt wejść im

<sup>19</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>duszny (daw.) — duchowy; związany z duszą. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję; por.: otucha. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>stanąć na wstręcie komuś (daw.) — przeszkodzić komuś. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>gorącymi słowami — dziś popr. forma N.lm: (...) słowami. [przypis edytorski]

nie przeszkodził, a z dwoma drugimi do domu Pasimundy wyruszył. Tutaj jeden oddział stanął przed drzwiami na przypadek, gdyby ktoś od wnętrza te drzwi zamknąć się starał, odwrót im odcinając. Nareszcie na czele ostatniego oddziału Cymon i Lysimachus weszli na górę, do sali weselnej, gdzie obie oblubienice, otoczone damami, za stołem siedziały pożywając. Napastnicy obalili stoły, pochwycili swoje umiłowane i natychmiast powierzyli je towarzyszącej z rozkazem, aby je na okręt uprowadzili. Białogłowy poczęły płakać i lamentować, goście i służba także krzyk podnieśli, tak iż cały dom wrzawą i jękiem się napełnił. Cymon i Lysimachus dobywszy mieczów przebili się z towarzyszami przez tłum gości ku wyjściu, nie napotykając oporu. Na schodach rzucił się na nich Pasimunda, który, na gwałt podniesiony, nadbiegł z ogromną pałką w ręku. Cymon ciął go mieczem tak potężnie przez głowę, że go trupem u nóg swoich położył. Od drugiego ciosu poległ nieszczęsny Ormisda, śpieszący na pomoc bratu swemu. Kilku innych, chcących podejść bliżej, odparli towarzysze Lysimacha i Cymona i rannych porzucili na placu. Ostawiwszy dom, pełen krwi, jęków, skarg i żaloby, nie mieszkając<sup>26</sup>, wraz z łupem bez przeszkód do okrętu dotarli. Wprowadziwszy białogłowy na pokład i wszyscy znalazłszy się na statku, odbili od brzegu, bowiem już im zagrażał tłum zbrojnych, którzy śpieszyli na odsiecz białogłowom.

Po przybyciu na Kretę Cymon i Lysimachus, serdecznie przez licznych krewniaków i przyjaciół witani, zaślubili damy swoje wśród nieskończonych i świetnych uroczystości, ciesząc się wywalczoną zdobyczą. Na Cyprze i Rodosie długo jeszcze chodziły słuchy o ich zuchwałym czynie, który powszechnie wzburzenie wywołał. Aliści tu i tam, dzięki poplecniectwu przyjaciół i krewnych, wreszcie winowajcom przebaczone, tak iż Cymon z Ifigenią na Cypr, a Lysimachus z Kasandrą na Rodos zadowoleni powrócili. Tam pospołu z żonami swymi długo jeszcze w szczęściu i w miłości żyli”.

## OPOWIEŚĆ DRUGA. STRZAŁY MARTUCCIA

*Konstancja miłuje Martuccia Gomito. Usłyszawszy o jego śmierci, z rozpaczą wypływa samotnie na morze w czółnie, które przybija do brzegu w Suzie. Znalazszy umiłowanego przy życiu w Tunisie, uwiadamia go o swoim przybyciu. Martuccio, który dzięki swym radom pozyskał łaski króla, żeni się z nią i na Lipari jako wielce bogaty człek powraca.*

Gdy Panfilo opowieść swoją skończył, królowa wielkimi pochwałami go obdarzyła, a potem Emilii dalej ciągnąć kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

— Każdy słusznie cieszyć się musi, jeśli widzi, że nagroda pragnieniom dorównuje. Ponieważ zaś miłości bardziej się uśmiech szczęścia niż łza strapienia należy, chętniej tedy<sup>27</sup> wypełnię wolę obecnej królowej niż jej poprzednika, króla.

„Wiedźcie zatem, miłe przyjaciółki, że niedaleko od Sycylii znajduje się mała wysepka Lipari, gdzie przed niedawnym czasem żyła młoda dziewczeczka niezwyklej urody, córka bogatych ludzi, Konstancją zwana. Miłował ją niejaki Martuccio Gomito, także z wyspy tej pochodzący, wielce urodziwy, szlachetny i obyczajny młodzieniec. Dzieweczka odplacała mu równą miłością i tylko wtedy szczęśliwą się czuła, gdy go przy sobie miała. Martuccio, pragnąc ją pojąć za żonę, poprosił jej ojca, aby mu ją dał w stadło, aliści<sup>28</sup> otrzymał odpowiedź, że Konstancja nigdy się nie stanie małżonką ubogiego człeka. Martuccio, srodze poruszony, że z przyczyny ubóstwa nim wzgardzono, postanowił Lipari opuścić. Przed odjazdem przysiągł krewniakom i przyjaciółom, że nie wróci do domu pierwej, zanim się bogatym człowiekiem nie stanie. Po czym odpłynąwszy począł przy brzegach Berberii<sup>29</sup> korsarstwem się paruć, grabiąc każdego, kto okazał się słabszym od niego. Los mu wielce sprzyjał i wszystko jak najlepiej by było, gdyby zdołał w szczęściu miarę zachować. Martuccio i jego towarzysze, nieukontentowani z nagromadzonych

<sup>26</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Berberia a. Barbaria — termin stosowany w Europie między XVI a XIX w. na określenie krajów Maghrebu, czyli nadmorskich regionów Afryki Płn., obejmujących dzisiejsze tereny Maroka, Algierii, Tunezji i Libii; koczownicze plemię Berberów, daw. mieszkańców tych ziem, użyczyło tu w uproszczeniu swej nazwy krainie; od XI do XIX w. słynni byli w basenie Morza Śródziemnego piraci berberyjscy. [przypis edytorski]

w krótkim czasie skarbów, pragnęli niezmiernymi bogactwami ovladnąć. Pewnego dnia napadli na nich na swych statkach Saraceni, którzy po zaciętej walce w niewolę ich wzięli i złupili. W czasie boju wielu towarzyszków Martuccia żywot postradało; okręt Martuccia zatopiony został, on sam zaś uprowadzony do Tunisu i tam do lochu na długą niedolę wtrącony. Po wyspie Lipari wkrótce poszły słuchy, przez wiele ust powtarzane, że Martuccio i wszyscy jego towarzysze śmierć w głębi morza znaleźli.

Młoda dziewczeczka, odjazdem Martuccia wielce strapiona, na wieść o jego śmierci długo płakała, aż wreszcie postanowiła życia się pozbawić. Ponieważ jednak nie miała odwagi gwałtowną drogą śmierci sobie zadać, wymyśliła tedy nowy sposób samobójstwa. Pewnej nocy, opuściwszy tajnie dom rodzicielski, pobięła do portu i ujrzała tam na uboczu barkę rybacką, z masztem, żaglami i wiosłami, których właściciele, co dopiero wylądowawszy, z sobą nie zabrali. Natychmiast wsiadła na nią, po czym odbiła od brzegu, rozpięła żagle (miała bowiem, jak wszystkie mieszkanki wyspy, niejaką w żeglarstwie biegłość), a znalazzszy się na pełnym morzu odrzuciła ster i wiosła i na łaskę fal oraz wiatru się zdała. Konstancja była twardo przekonana, że barka, steru i ładunku pozbawiona, albo się pod wiatrem przewrócić musi, albo też, natrafiwszy na podwodną skałę, roztrzaska się na drzazgi; wówczas ona, choćby się i ratować chciała, uczynić tego nie zdoła i pożądaną śmierć wreszcie w falach znajdzie. Z tą myślą zarzuciła połę swej szaty na głowę i gorzko płacząc, na dnie barki legła. Jednakże stało się całkiem inaczej, niż przypuszczała. Wiatr od północy dął łagodnie, morze było ciche, barka trzymała się na falach doskonale, tak że nazajutrz pod wieczór znalazła się o sto mil powyżej Tunisu. Przybiła wreszcie do brzegu niedaleko miasta Suzy. Dzieweczka nie wiedziała nawet, czy znajduje się na pełnym morzu, czy u brzegów, nie spodziewając się bowiem żadnego szczęśliwego przypadku, głowy nie podnosiła ani podnosić nie myślała. Tymczasem właśnie w chwili gdy barka o brzeg uderzyła, na wybrzeżu znajdowała się uboga białogłowa, żona rybaka, która sprzątaniem sieci zatrudniona była. Ujrawszy barkę, wielce się zadziwiła, że łódź z rozpiętym żaglem do brzegu dotarła. Mniemając, że rybacy na barce zasnęli, zbliżyła się do niej i wówczas spostrzegła młodą dziewczeczkę, we śnie mocnym pogrążoną. Poczęła na nią wołać i wstrząsać nią, aż wreszcie po długich zachodach obudzić ją zdołała. Uznawszy po szatach dziewczeczki, że musi być ona chrześcijanką, zapytała ją w języku włoskim, jakim sposobem sama na łódce tutaj się znalazła? Konstancja, włoską mowę usłyszawszy, pomyślała, że ani chybi, wiatr się obrócił i że z powrotem do Lipari ją przygnał. Podniosła się tedy co żywo, obejrzała dokoła, a nie poznając wcale tych stron, spytała białogłową, gdzie się znajduje.

— Dziecię moje — odparła rybaczką — jesteś niedaleko Suzy w Berberii.

Na te słowa dziewczeczka srodze się zmartwiła, że Bóg jej śmierci znaleźć nie dozwolił. Nie wiedząc, co jej dalej czynić należy, zmieszana i zawstydzona, usiadła w pobliżu łodzi i gorzko płakać zaczęła. Szlachetna białogłowa, współczująca jej z całego serca, pocieszała ją, jak mogła, aż wreszcie skłoniła ją do tego, że do wnętrza pobliskiej chaty weszła. Tam, uspokoiwszy się znacznie, opowiedziała rybaczkę, jakim sposobem w tych stronach się znalazła. Dowiedziawszy się z jej słów, że długo już nic w ustach nie miała, rybaczką dała Konstancji kawałek suchego chleba, rybę wędzoną i szklankę wody, prosząc ją wymownymi słowy, aby się trochę posilić chciała. Konstancja, przystawszy na jej prośbę, spytała białogłową, kim ona jest i skąd włoską mowę pojmuje? Rybaczką odparła, że pochodzi z Trapani, że się zwie Carapresa i że trudzi się posługami u rybaków-chrześcijan. Dzieweczka, mimo strapienia swego, usłyszawszy imię Carapresa, co jako miła zdobycz się wyklada, sama nie wiedząc dlaczego, za dobrą wróżbę je wzięła i w ściśnionym swym sercu niejaką nadzieję poczuła, tak iż pragnienie śmierci zmniejszyło się nieco. Nie odkrywając rybaczkę, kim jest i skąd pochodzi, jęła<sup>30</sup> ją zaklinać, aby nad młodością jej się ulitowała i poradziła jej, co ma uczynić, aby ochronić się od niebezpieczeństw, które jej tutaj zagrażać mogą. Carapresa, wielce szlachetna białogłowa, nie odpowiedziała jej nic na to, pobięła jeno<sup>31</sup> żywo, aby zebrać pozostawione na brzegu sieci, a po powrocie owinęła ją całą w płaszcz i do Suzy zawiodła. Gdy do miasta weszły, rzekła w te słowa:

<sup>30</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]



— Zawiodę was, pani, do domu pewnej zacnej Saracenki<sup>32</sup>, której często posługuję, gdy zajdzie potrzeba. Jest to szedziwa<sup>33</sup> białogłowa o miłosiernym sercu. Poproszę ją jak najgoręcej, aby nad wami pieczę miała. Upewniona jestem, że przyjmie was jak córkę rodzoną. Wy zaś starajcie się z wszystkich sił o pozyskanie jej względów aż do chwili, gdy Bóg wam lepszy ześle los.

Poczciwa rybaczka uczyniła tak, jak rzekła. Stara Saracenka, wysłuchawszy opowieści rybaczki, spojrziała bacznie na Konstancję, rozplakała się, pocałowała ją w czoło, a potem wzięła ją za rękę i wprowadziła do swego domu, w którym żyła pospołu z innymi białogłowami bez męskiej kompanii. Białogłowy te zajmowały się rzemiosłem, wyrabiając różne przedmioty z liści palmowych, skóry i jedwabiu. Konstancja po kilku dniach przyswoiła sobie w części ich kunszt, tak iż mogła w wspólnych pracach udział przyjmować. Gospodyni i jej towarzyszki osobną<sup>34</sup> przychylnością i miłością ją obdarzały. Dzięki ich pomocy młódka wkrótce miejscowej mowy się nauczyła. Tak tedy dziewczeczka, którą w Lipari już jako umarłą oplakano, w Suzie żyła.

W tym czasie królem Tunisu był niejaki Mariabdel. Zdarzyło się, że pewien wielce bogaty młodzian, przebywający w Granadzie, a posiadający znaczne skarby i potężnych krewniaków, jał się o koronę Tunisu ubiegać, mówiąc, że jemu przypaść winna. Stanąwszy na czele ogromnego wojska, wyruszył do Tunisu, aby prawego władcę wygnąć. Wieść o tym doszła do Martuccia Gomito, który w więzieniu wiek swój trawił. Znając dobrze arabską mowę i słysząc, że król Tunisu wielką armię dla obrony kraju zbiera, rzekł do jednego ze straży:

— Gdybym mógł mówić z królem, dałbym mu jedną radę, dzięki której, jak tuszę<sup>35</sup>, zostałby w tej wojnie zwycięzcą.

Strażnik więzienny powtórzył te słowa swemu dowódcy, a ten o wszystkim królowi doniósł. Król rozkazał Martuccia sprowadzić i zapytał go, jakiej rady chce mu udzielić?

— Panie — odparł Martuccio — jeśli, przebywając od dawna w waszych stronach, dobrze wasz sposób wojowania zważyłem, na tym się on zasadza, że największe znaczenie łucznikom przypisujecie. Dlatego też niewątpliwą rzeczą mi się wydaje, że jeśli u wrogów waszych strzał zabraknie, podczas gdy wy będziecie ich mieli do zbytku, zwycięstwo wam w udziale przypadnie.

— Ani chybi — odparł król. — Ale jak to sprawić?

— Łatwie<sup>36</sup> to działać można — rzekł Martuccio — i zaraz wam, panie, stosowny środek przedstawię. Należy łuczników waszych opatrzyć w łuki z daleko cieńszą cięciwą od używanej zwyczajnie i przysposobić zapas strzał, których karby tylko do tak cienkiej cięciwy się nadadzą. Wszystko to trzeba w głębokiej tajności zachować, tak aby nieprzyjacieli o niczym się nie dowiedział, w przeciwnym razie bowiem, mógłby groźnemu niebezpieczeństwu zaradzić. Gdy już zastępy wrażliwych łuczników cały zapas swoich strzał wystrzelają, a wasi łucznicy także już bez pocisków zostaną, jedni i drudzy będą musieli wówczas podnosić strzały, co z przeciwnej strony wypuszczone zostały. Aliści nieprzyjacieli waszych strzał użyć nie będą mogli, ponieważ cienkie karby w grube cięciwy łuków wprawić się nie dadzą, podczas gdy wasi łucznicy łatwo nieprzyjacielskimi strzałami prażyć będą mogli. Wojska wasze, panie, będą miały tedy<sup>37</sup> obfitszy zapas pocisków, kiedy wróg swój już wyczerpie.

Król, który był wielce mądrym człowiekiem, pochwalił radę Martuccia i zastosował się do niej, dzięki czemu walne zwycięstwo nad nieprzyjacielem odniósł. Martuccio, szczególne jego względy pozyskawszy, na wysoki stopień dostojności się wzniosł i stał się bardzo możnym człkiem. Słuchy o jego fortunie po całym kraju poszły. Wreszcie i Konstancja, która tak długo Martuccia za umarłego poczytywała, dowiedziała się, że kochanek jej żyje. Miłość do niego, która już w jej sercu ostygła nieco, nowym i gwał-

<sup>32</sup>*Saracenka* — tu: Arabka. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*szedziwy* — dziś popr.: sędziwy; wielkowy; stary. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*osobny* (daw.) — tu: osobliwy, szczególny. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*tuszyc* (daw.) — mieć nadzieję; por.: *otucha*. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*łatwie* — dziś: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

towniejszym jeszcze płomieniem się zapaliła, budząc zarazem wszystkie jej umarłe nadzieje. Młódka postanowiła odkryć wszystko Saracence, w domu której schron znalazła. Oświadczyła jej tedy, że do Tunisu udać się zamierza, aby nacieszyć swe oczy widokiem tego, czego pragnienie uszy w niej obudziły, gdy nowe wieści zasłyszała. Saracenka zamysł jej pochwaliła; czując do młódki afekt macierzyński, wsiadła z nią pospołu na okręt i do Tunisu się udała. Po przybyciu na miejsce zatrzymały się, godnie przyjęte w domu jednej z krewniaczek Saracenki. Konstancja natychmiast wysłała Carapresę, którą z sobą zabrała, aby zasięgnęła wieści o Martucciu. Staruszka wnet dowiedziała się, że Martuccio pośród wielkich dostatków żyje. Wówczas młoda niewiasta poprosiła ją, aby sama do Martuccia się udała i oznajmiła mu, że jego Konstancja do Tunisu przybyła. Staruszka, stanąwszy przed obliczem młodzieńca, tak rzekła:

— Martuccio, jeden z dawnych sług twoich, który przybył z Lipari i stanął w moim domu, pragnie w tajności z tobą pomówić. Nie żywiąc do nikogo ufności, przybyłam do cię sama, aby jak tego chciał, o tym ci oznajmić.

Martuccio za tę uprzejmość stosowny dank<sup>38</sup> jej złożył i udał się za nią do jej domu. Ujrawszy go, Konstancja o mały włos nie umarła z radości; niezdolna zapanować nad sobą, rzuciła mu się z otwartymi ramionami na szyję. Nie miała siły jednego choćby słowa wymówić i tylko cicho płakała, wspominając przebyte nieszczęścia i wielką obecną radością się ciesząc. Martuccio, obaczywszy Konstancję, z początku się zdziwił, a potem z głębokim westchnieniem rzekł:

— O moja miła Konstancjo! Więc ty żyjesz? Dawno mi już za pewne podawano, że zaginęłaś i w domu nic o tobie nie wiedziano.

Z tymi słowy objął ją i ucałował.

Konstancja opowiedziała mu o wszystkich przypadkach swoich, wspomniła także o dobrodziejstwach doznanych od Saracenki, w domu której schronienie znalazła. Martuccio, po długiej rozmowie z Konstancją, udał się do króla i opowiedziawszy mu całą historię swoją i Konstancji, oznajmił, że za jego zezwoleniem pragnąłby ukochaną swoją wedle chrześcijańskiego obyczaju zaślubić. Król, zadziwiony niepomału<sup>39</sup> tymi zdarzeniami, rozkazał przywołać Konstancję. Wysłuchawszy jej opowieści, na wszem<sup>40</sup> do opowieści Martuccia podobnej, rzekł:

— Zasłużyłaś sobie w pełni na takiego małżonka!

Potem rozkazał przynieść drogocenne podarki, rozdzielił je między Konstancję i Martuccia i pozostawił im zupełną swobodę stanowienia o losie swoim. Martuccio podziękował w gorących słowach Saracence za jej opiekę nad Konstancją i bogatymi darami ją obsypał. Konstancja ze łzami w oczach staruszkę pożegnała. Później za pozwoleniem króla wsiedli na okręt, wzięwszy z sobą Carapresę i korzystając z pomyślnego wiatru, do Lipari pożeglowali. Przyjęto ich tam z takim uczczeniem i radością, że tego nie lza<sup>41</sup> w słowach wyrazić. Martuccio wspaniałe wesele wyprawił. Żyli potem jeszcze długo, ciesząc się w pokoju wzajemną miłością swoją”.

## OPOWIEŚĆ TRZECIA. NA WŁOS OD ŚMIERCI

*Pietro Boccamazza, uciekając z Agnolellą, wpada w ręce łotrzyków. Dzieweczka salwuje się ucieczką do lasu i po pewnym czasie do zamku się dostaje. Pietro, uszedłszy z rąk łotrzyków, po wielu przygodach przybywa do tego samego zamku, żeni się z Agnolellą i razem z nią do Rzymu powraca.*

Całe towarzystwo gorącymi pochwałami opowieść Emilii obdarzyło. Gdy nowela do końca doprowadzona została, królowa Elizie opowiadać kazała. Ta, wezwaniu posłuszna, w te słowa zaczęła:

— Przychodzi mi na myśl, miłe damy, straszna noc, którą dwoje nierozważnych kochanków przeżyć musiało. Ponieważ jednak po tej nocy wiele radosnych dni nastąpiło,

<sup>38</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>niepomału (daw.) — niemało. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>na wszem — we wszystkim. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

tedy<sup>42</sup> mogę o niej opowiedzieć, od naznaczonej na dziś materii wcale nie odbiegając.

„W Rzymie, będącym kiedyś głową świata, a dziś jego ogonem<sup>43</sup>, żył przed niedawnymi czasy młodzieniec pewien, imieniem Pietro Boccamazza, do znacznej rodziny rzymskiej należącej. Zakochał się on w pięknej i wielce wdzięcznej dziewczeczce, Agnolelli, córce niejakiego Gigliuozzo Saullo, człeka podłej kondycji, który mimo to powszechnym miernem w Rzymie się cieszył. Boccamazza potrafił wkrótce wzajemną miłość Agnolelli pozyskać. Pietro, gorącą miłością przynaglany, nie mogąc się oprzeć pragnieniu posiadania umiłowanej dziewczeczki, o rękę jej poprosił. Na wieść o tym jego krewniacy zgodnie w surowych słowach ganić jego wybór poczęli. Krom<sup>44</sup> tego, kazali panu Gigliuozzo Saullo powiedzieć, aby prośbom Pietra posłuchu nie dawał, bowiem, jeśliby dopiął swego, oni nigdy za swego krewniaka ani przyjaciela go nie uznają. Pietro, widząc drogę do szczęścia przed sobą zamkniętą, o mały włos nie umarł z rozpacz. Gdyby tylko Gigliuozzo na to przystał, ożeniłby się wbrew woli całej rodziny swojej. Potem jednak do tej myśli przyszedł, że wystarczy całkiem, jeśli zgodę umiłowanej dziewczeczki pozyska. Wybadawszy tedy przez trzecią osobę Agnolellę, dowiedział się, że jest to po jej myśli. Wówczas pospołu z nią uciec z Rzymu postanowił. Opatrzywszy się we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne, Pietro pewnego ranka o wczesnej godzinie siadł pospołu z Agnolellą na konia i skierował się do Anagni, gdzie posiadał przyjaciół, na których mógł w zupełności liczyć. Jechali rączo, a obawiając się pogoni, nie mieli czasu oddać się miłości, tylko mówiąc o niej po drodze, od czasu do czasu wymieniali pocałunki. Pietro niezbyt dobrze znał drogę, dlatego też, odjechawszy jakieś osiem mil od Rzymu, miast<sup>45</sup> na prawo, na lewo się obrócił. Ledwie w tym kierunku dwie mile przebyli, gdy znaleźli się w pobliżu jakiegoś obronnego zamku, z którego natychmiast na ich widok dwunastu zbrojnych wypadło. Agnolella pierwsza ich zauważyła, gdy byli już blisko, i zawołała do Pietra:

— Uciekajmy, Pietro, bowiem napadają na nas!

Rzekłszy to, jak umiała, skierowała swego konia do wielkiego lasu opodal. Koń zaś, czując wbite w ciało ostrogi, co sił pędził przez las z dziewczyną rozpaczliwie trzymającą się siodła. Tymczasem Pietro, który, mając przez ten cały czas na nią wzrok obrócony, przed siebie nie patrzył, za późno zbrojnych spostrzegł. Ci napadli nań, pochwycili go i ściągnęli z siodła, nim się opamiętać zdołał. Zapytali go, kim jest, a gdy im nazwisko swoje wyjawiał, jęli się naradzać między sobą, mówiąc:

— Człek ten należy do przyjaciół wrogów naszych. Nie trza się długo nad nim głowić. Rozdzielmy go z szat, odbierzemy mu konia i powiesimy go na dębie, na złość Orsinim.

Towarzysze mówcy przyklasnęli tym słowom i nie mieszkając<sup>46</sup>, Pietrowi kazali zdjąć suknie. Pietro, ściągając je, już na śmierć się gotował, gdy nagle z zasadzki wypadł oddział z dwudziestu pięciu zbrojnych złożony i rzucił się na rabusiów z krzykiem:

— Bij, morduj!

Złoczyńcy, zaskoczeni, wypuścili z rąk Pietra i do obrony jęli się gotować. Przekonawszy się jednak, że przewaga jest po stronie nieprzyjaciół, rozbiegli się na wsze strony, mając zwycięzców na karkach. Pietro, ujrawszy się wolnym, pochwycił swoje suknie, wskoczył na konia i pomknął jak strzała w tym kierunku, w którym Agnolella uciekła. Jednakże w lesie nie mógł trafić na ścieżkę ani na ślady kopyt końskich. Uwolnił się od jednych i drugich napastników, aliści<sup>47</sup> stracił swoją umiłowaną dziewczeczkę. Obawiając się, że już jej nie odnajdzie, gorzko i rzewnie płakać począł, wołał na nią przy tym po imieniu i przebiegał las tam i z powrotem, ale wszędzie było cicho i pusto. Wracać nie śmiał, nie wiedział także, dokąd dotrze, jeśli przed siebie jechać będzie. Przeraziła go również myśl o dzikich zwierzętach, od których, ani chybi, las się ten roił. Ciągłe mu na oczach stawała<sup>48</sup> Agnolella rozszarpana pazurami niedźwiedzia lub wilka. Przez cały dzień tedy<sup>49</sup> błędził nieszczęsny Pietro po lesie, wołając na swoją ukochaną. Nieraz mu się zdawało,

<sup>42</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>W Rzymie, będącym kiedyś głową świata, a dziś jego ogonem — aluzja do okresu (1309–1377) wyludnienia i upadku miasta po przeniesieniu stolicy papieskiej z Rzymu do Awinionu we Francji. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>na oczach stawała — dziś popr.: przed oczami stawała. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

że naprzód zmierza, gdy tymczasem w samej rzeczy wracał na to samo miejsce. Krzyk, szlochy, strach i głód tak go wreszcie zmęczyły, że całkiem z sił opadł. Gdy noc nastąpiła, nie wiedząc, co począć, zsiadł z konia, uwiązał go do pnia ogromnego dębu, a sam na jego wierzchołek się przebrał, dla ochrony przed zwierzem. Po pewnym czasie wzeszedł księżyc i w lesie jasno się stało. Pietro wstrzymywał się od snu, obawiał się bowiem spaść z drzewa; przy tym niepokój o kochankę zasnąć mu nie pozwalał. Siedział na drzewie płacząc i przeklinając nieszczęsną dolę swoją.

Dzieweczka, jakśmy to już wyżej powiedzieli, zdawszy się na wolę swego konia, pomknęła przed siebie na oślep. Po pewnym czasie tak w las zabrnęła, że nie mogła już rozpoznać strony, z której przybyła. Podobnie jak Pietro cały dzień po lesie błądziła, zatrzymywała się i znów dalej ruszała, płakała, nawoływała swego kochanka i na swój złowrogi los się żaliła. Pietro nie odzywał się wcale. Tymczasem wieczór nastał. Agnolella spostrzegła małą ścieżynkę, którą dalej jechać postanowiła. Przebywszy ze dwie mile ujrzała chatkę i natychmiast do niej pośpieszyła. Zastała w niej szedziwego<sup>50</sup> wielce człeka i równie szedziwą jego żonę. Obaczywszy samotną dziewczeczkę, rzekli do niej:

— Co porabiasz, dziecię, w tych stronach o tak późnej porze?

Agnolella odparła ze łzami, że odbiła się od swych towarzyszy i że w lesie zabłądziła. Potem spytała, zali daleko jeszcze do Anagni. Starzec odrzekł:

— Do Anagni nie tędy droga. Miejsce to jest najmniej o dwanaście mil stąd oddalone.

— A daleko stąd do jakiejś miejscowości, gdzie by nocleg znaleźć było można? — zapytała dziewczeczka.

— Do żadnej już przed nocą nie dotrzecie — odparł wieśniak.

— Jeśli tak, to w imię miłości Chrystusa, przygarnijcie mnie na noc dzisiejszą — rzekła młódka błagalnym głosem.

— Radziśmy z całej duszy, abyś z nami na tę noc została — odparł gospodarz — aliści<sup>51</sup> uprzedzić cię muszę, że złe bandy włóczą się dniami i nocami w tych okolicach, nasyłane przez przyjaciół i wrogów, i wyrządzają nam wiele szkód, a srogich utrapień przyczyniają. Gdyby więc na nieszczęście w czasie bytności twojej u nas ci złoczyńcy do domu naszego wtargnęli i obaczyli, jak młoda i urodziwą jesteś, strach pomyśleć, na jaką hańbę cnota twoja narażona by była. Nie zdołalibyśmy cię obronić mimo woli naszej. Uprzedzamy cię o tym z góry, abyś w razie nieszczęścia skarżyć się na nas nie miała prawa.

Chocia te słowa wieśniaka Agnolellę mocno przeraziły, przecie zważywszy, że pora jest późna, rzekła w te słowa:

— Łaska boska mnie i was od nieszczęścia ochroni. Jeśli już zasię<sup>52</sup> tak okrutny los mi jest przeznaczony, to wolę być raczej przez ludzi skrzywdzoną niż rozszarpaną w lesie przez zwierzęta.

Po tych słowach zeszła z konia i do domu wieśniaka się udała, aby podzielić z zawnymi ludźmi ich skromną wieczerzę. Po czym nie rozdzielając się legła z nimi pospołu na łożo. Całą noc płakała i wzdychała, przypominając sobie różne przypadki i myśląc o umiłowanym, o którego losie nic dobrego nie tuszyła<sup>53</sup>.

O świcie usłyszała gromkie kroki zbliżających się licznie ludzi. Natychmiast wyskoczyła z łóżka i wyszła na obszerny dziedziniec, poza domem się znajdujący. Obaczywszy wielki stóg siana, ukryła się w nim, mniemając słusznie, że napastnicy nieprędko dzięki temu ją znajdą, choćby i na dziedziniec wtargnęli. Ledwie ukryć się zdołała, gdy owa szajka rabusiów do domku dobijać się poczęła. Spostrzegłszy osiodłanego rumaka, spytali gospodarza, co za przybysz jest w domu. Wieśniak, nie widząc młódki, odrzekł:

— W domu tym nie ma żywej duszy, krom<sup>54</sup> mnie i staruchy, mojej żony. Koń ten należał do jakiegoś nieznanego mi człeka, któremu uciekł i przyczłapał tu wczoraj wieczór. Wprowadziliśmy go pod dach, aby go wilcy nie rozszarpali.

<sup>50</sup>szedziwy — dziś popr.: sędziwy; wiekowy; stary. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję; por.: *otucha*. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

— Jeśli koń właściciela nie ma, to my go z sobą zabierzemy — odparł herszt bandy.

Rabusie rozbiegli się na wszystkie strony. Jedni z nich przetrząsali cały niewielki dom, drudzy na podwórku plądrowali. Potem odłożyli swe włócznie i tarcze. Jednemu z nich przyszło wówczas do głowy wetknąć lancę w stóg siana, co o mały włos śmierci dziewczeczki nie spowodowało. Ostrze lancy uderzyło ją w lewą pierś, tak iż nawet szatę na niej rozdarło. Dzieweczka, myśląc, że raniona została, w głos już krzyknąć chciała, aliści pomyślawszy o niebezpieczeństwie opamiętała się. Rabusie, rozłożywszy się tu i tam, piekli koźlęta i inne mięsiwo, jedli i pili, wreszcie odeszli, uprowadzając z sobą konia. Gdy już byli daleko, wieśniak spytał swej żony:

— Co się stało z dziewczeczką, która wczoraj do nas przybyła? Nie widziałem jej od czasu, gdym się z łoża podniosł.

Żona odrzekła mu, że nie wie, i udała się na poszukiwania. Dzieweczka usłyszawszy, że rabusie już się oddalili, wyszła ze stogu. Zacni wieśniacy uradowali się wielce, zobaczywszy, że złoczyńcom w ręce nie wpadła.

Gdy się już dzień uczynił zupełny, starzec rzekł do Agnolelli:

— Teraz za dnia mogę cię, jeśli taka jest twoja wola, zaprowadzić do pewnego zamku o pięć mil stąd oddalonego. Mniemam, że bezpieczny schron tam znajdziesz. Musisz jednak tę drogę piechotą odbyć, bowiem złoczyńcy konia twego uprowadzili.

Młódka wielce się uradowała i poczęła go zaklinać w imię miłości Boga, aby ją do zamku odprowadził. Wkrótce wyruszyli w drogę i około drugiej godziny po południu do celu dotarli. Zamek należał do pewnego szlachcica z rodu Orsinich, zwanego Liello z Campo di Fiore. W tym czasie przebywała w zamku żona rycerza, białogłowa zacna i świątobliwa wielce. Ujrawszy Agnolellę, poznała ją zaraz, przyjęła uprzejmie, a potem spytała, jakim sposobem w tych okolicach się znalazła. Dzieweczka wszystko jej opowiedziała. Dama, która znała też Pietra, będącego przyjacielem jej męża, wielce się strapiła tym, co mu się przytrafiło. Posłyszawszy, gdzie go osaczono, przekonana była w głębi duszy, że Pietro zginął, rzekła więc w te słowa, chcąc dziewczeczkę uspokoić:

— Ponieważ nie wiesz, co się z Pietrem stało, pozostaniesz u mnie do tego czasu, aż nie nadarzy się okazja bezpiecznego powrotu do Rzymu.

Tymczasem Pietro siedząc na dębie, w ciężkiej rozpacz pograżony, obaczył nagle w pierwszych godzinach nocy stado wilków, które zwęszywszy konia, otoczyły go ze wszystkich stron. Koń zwietrzywszy je stanął dęba, zerwał wodze, którymi był do drzewa przywiązany, i uciec próbował. Gdy jednak wilcy drogę mu przecięli, bronił się przez pewien czas kopytami i zębami, aż wreszcie, na ziemię powalony, uduszonym i rozdartym na ćwierci został. Po czym wilcy ostawiwszy same tylko kości, pobiegli dalej. Pietro, który rumaka za jedyną podporę swoją w tych nieszczęściach uważał, całkiem głowę stracił i zwątpił już, czy mu się z ostępów leśnych wydestać uda. Tymczasem zbliżyła się godzina świtu; Pietro przemarł do kości, siedząc nieruchomo na dębie. Rozglądając się na wsze strony, obaczył nagle w oddali, w odległości mili, wielki słup ognia. Gdy się dzień uczynił, zszedł z dębu, nie bez pewnej trwogi, i w kierunku ognia podążył, aż dotarł do celu. Koło ogniska obaczył pastuchów śniadających wesoło, którzy z współzuciem wielkim go przyjęli. Pietro, ogrzawszy się i posiliwszy, opowiedział im o swoich przytrafieniach, a potem zapytał, zali tu w bliskości nie ma wioski albo zamku jakiego, dokąd mógłby się udać. Pasterze odparli, że nie dalej, jak o trzy mile od tego miejsca znajduje się zamek pana Liella z Campo di Fiore i że żona właściciela właśnie tam bawi. Pietro, uradowany, jął<sup>55</sup> ich prosić, aby go do tego zamku zaprowadzili, na co dwóch pasterzy zaraz przystało. Przybywszy do zamku, Pietro spotkał tam znanego sobie dobrze człowieka i poprosił go, aby nie mieszkając<sup>56</sup> na poszukiwania Agnolelli kogoś wyprawił. Tymczasem zawołano go do pani zamku. Wszedłszy czym prędzej do jej komnaty i obaczywszy tam kochankę swoją, niewysłowionej radości doznał. Chciał ją zaraz w objęcia swoje pochwycić i tylko przez wzgląd na przytomność<sup>57</sup> pani domu tego nie uczynił. Jeśli Pietro był tak ura-

<sup>55</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>przytomność (daw.) — obecność. [przypis edytorski]



dowany, to szczęście dziewczeczki nie mniejsze było. Pani zamku przyjęła Pietra z wielką dwornością, a wysłuchawszy jego opowieści, zganiła go, że wbrew woli rodziców swoich chciał się ożenić. Widząc go jednak niezachwianym w tym postanowieniu, a także afekt dziewczęcia zważywszy, rzekła sama do siebie: „Po cóż tak się tą sprawą zatrudniam? Miłują się nawzajem, znają się, oboje po równi należą do przyjaciół mego męża, przy tym ich zamysły i pragnienia są wielce prawe. Zaiste mniemać należy, że związek ich jest miły Bogu, skoro Bóg zachował jedno od stryczka, drugie od pchnięcia kopią, oboje zaś od zwierząt drapieżnych. Niechże więc się pobiorą w imię Boże!”.

Potem obróciła się do kochanków i rzekła:

— Jeśli niezachwianą wolą waszą jest stać się parą małżonków, to niechże ja do tego rękę przyłożę. Wesele wyprawię wam tutaj, na koszt Liella, a potem postaram się was z krewniakami pogodzić.

Pietro i Agnolella, wielce uradowani, w zamku ślub wzięli. Uczta weselna została odprawiona z taką wspaniałością, jaka tylko możliwa była w tej górskiej głuszy. Na zamku także małżonkowie pierwsze rozkosze wzajemnej miłości poznali. Po upływie kilku dni pani zamku wraz z młodą parą i oddziałem zbrojnych wyruszyła konno do Rzymu. Rodzice Pietra wielce się już o jego los niepokoili. Damie udało się przywrócić zgodę między nimi a synem. Pietro żył z żoną swoją w Rzymie aż do późnej starości, wielkim szczęściem miłości się ciesząc”.

## OPOWIEŚĆ CZWARTA. SŁOWIK

*Ricciardo Manardi, spoczywając w objęciach Katarzyny, przez jej rodzica, pana Lizio da Valbona, pochwycony zostaje i żeni się z Katarzyną, a z panem Liziem w dobrej zgodzie żyć poczyną.*

Gdy Eliza skończyła i gdy umilkły pochwały jej opowieści składane, królowa skinęła na Filostrata, który śmiejąc się tak zaczął:

— Tyle już od was słyszałem przytyków za podaną przeze mnie wczoraj smutną materię do opowieści, która was do częstego płaczu przywodziła, iż chcę was obecnie za te lzy wynagrodzić. Przytoczę wam tedy<sup>58</sup> krótką opowieść o dziejach kochanków, którzy nie zaznali innych niedoli jak tylko westchnień, krótkiego lęku i wstydu, po czym koniec ich czekał radosny. Mniemam, że was ta historia do szczerzego pobudzi śmiechu.

„A zatem, szlachetne damy, niedawno temu żył w Romanii pewien dzielny i czcigodny szlachcic, panem Lizio da Valbona zwany, który w dość szedziwym wieku już będąc, małżonkę swoją, panią Giacominę, córką obdarzył. Dzieweczka ta podrosłszy przeszła urodą i wdziękiem wszystkie panny rówieśne. Rodzice miłowali ją nad życie jako jedyne dziecię swoje i strzegli ją jak źrenicę oka w nadziei, że kiedyś w wysokie związki wstąpi. Dom pana Lizia odwiedzał często i długo w nim gościł pewien urodziwy młodzieniec, imieniem Ricciardo, do rodu Manardich z Brettinoro należący. Lizio i jego żona odnosili się doń z taką ufnością jak do rodzzonego syna. Zdarzyło się, że ów młodzian zwróciwszy raz i drugi baczniejsze spojrzenie na dziewczeczkę, już do zamięscia zdolną, znalazł ją piękną nad wyraz i wdziękiem a obyczajnością celującą. Dlatego też zakochał się w niej na śmierć, umiał jednakże ukryć swoją miłość na dnie serca. Dzieweczka odgadła wkrótce jego afekt i nie przeciwiąc się, wzajemnością mu odpowiedziała. Ricciardo nie posiadał się z radości. Nieraz miał już zamiar miłość swoją jej wyznać, aliści<sup>59</sup> nie dostawało<sup>60</sup> mu odwagi. Pewnego dnia, nie mogąc już zdzierżyć dłużej, rzekł do Katarzyny:

— Katarzyno, błagam cię na wszystko, nie daj mi umrzeć z miłości.

— Bóg widzi — odparła w lot dziewczeczka — że się boję, abym z miłości do ciebie ja raczej ducha nie wyzionęła.

Odpowiedź ta ucieszyła niezmiernie Ricciarda i tyle otuchy mu dała, iż rzekł:

— Uczynię wszystko, co tylko miłe ci być może. Aliści ty sama musisz wynaleźć stosowny środek dla ocalenia życia nas obojga.

<sup>58</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>nie dostawać komu czego — brakować komu czego. [przypis edytorski]

— Ricciardo — odparła dziewczeczka — wiesz dobrze, pod jak surowym mnie trzymają dozorem. Nie wiem, jak to uładzić, abys przyjsć do mnie mógł. Jeżeli widzisz jednak jakiś sposób, który by czci mej na szwank nie naraził, powiedz mi o nim, a przyrzekam ci, że chętnie na wszystko się zgodzę.

Ricciardo po długim namyśle rzekł:

— O Katarzyno, duszo mojej duszy! Znam tylko jeden sposób, który taki jest, aby ci pozwolono spać lub pojawić się na balkonie, który na wasz ogród wychodzi. Gdy będę wiedział, że się tam nocą znajdujesz, postaram się do ciebie dostać, jakkolwiek wysoko to bardzo.

Na co odparła Katarzyna:

— Jeśliś tylko gotów się wspinać, już ja tak wszystkim pokierować myślę, że będę mogła tam spać.

Ricciardo raz jeszcze o swej gotowości ją zapewnił. Po tej rozmowie rozeszli się, jeden tylko mimochodem wymieniwszy pocałunek. Maj dobiegał już końca. Następnego dnia dziewczeczka poczęła skarżyć się przed matką, że ubiegłej nocy dla wielkiego upału spać nie mogła.

— Jakież tam upały, córucho? — zdziwiła się matka. — Upałów raczej ani śladu.

— Mamo kochana — odrzekła Katarzyna — powinnaś dodać: „moim zdaniem”, a wtedy może byłabyś bliską prawdy. Atoli<sup>61</sup> pomyśleć ci trzeba, o ile więcej żaru mają w sobie młode dziewczęta niż stateczne niewiasty.

— Nie przeczę temu, moje dziecko — odpowiedziała matka — ale nie mogę wedle woli własnej sprowadzać zimna i gorąca, jakbyś może tego chciała. Trzeba ścierpieć czas taki, jaki przynosić z sobą zwykły pory roku. Może dzisiejsza noc będzie chłodniejsza i spać będziesz lepiej.

— Dałby Bóg — rzekła Katarzyna — ale nie zwykła to rzeczy kolej, by im bliżej lata, tym chłodniejsze miały stawać się noce.

— Cóż tedy<sup>62</sup> poradzić na to, twoim zdaniem?

— Jeśli by mój ojciec wraz z tobą nie miał nic przeciwko temu, chętnie posłałabym sobie na balkonie wychodzącym na ogród, obok jego komnaty, i tam położyłabym się spać. Słuchając słowika i leżąc w chłodzie, czułabym się o wiele lepiej niż w ciasnocie twojej sypialni.

— Bądź dobrej myśli, dziecko — odparła matka — powiem to ojcu twemu. Zrobimy tak, jak on zechce.

Pan Lizio, który będąc już w szedziwym wieku, uporem nieco grzeszył, rzekł, gdy żona przedłożyła mu prośbę córki:

— Co to za słowik, przy którego śpiewie spać się jej zachciewa? A może by ją nauczyć spać przy śpiewie koników polnych?

Dowiedziawszy się o odmownej odpowiedzi rodzica, Katarzyna następnej nocy nie tyle z gorąca, ile z gniewu nie tylko nie spała, ale i matce oka zmrużyć nie pozwoliła żaląc się nieustannie na upał i duszność.

Matka udała się rankiem do pana Lizia i rzekła:

— Wierę<sup>63</sup>, mój małżonku, niezbyt widać córkę swoją miłujesz! Cóż ci to szkodzić może, jeśli na balkonie się prześpi? Dzisiaj przez całą noc z gorąca rady sobie dać nie mogła. Cóż dziwnego w tym zresztą, że lubi śpiew słowika? Wszak to dziecko jeszcze, a dzieci lubią wszystko, co do nich jest podobne.

— Zgadzam się zatem — odparł pan Lizio — każ jej łożo postawić, jakie zmieścić się zdoła na balkonie, i zasłony dokoła zapaścić. Niechaj tam śpi i słucha śpiewu słowika, ile jej się żywnie podoba.

Dzieweczka, dowiedziawszy się o pozwoleniu ojca, czym prędzej urządziła sobie posłanie na balkonie. Przed następną nocą, którą tam spędzić zamierzała, umówionym znakiem Ricciarda uwiadomiła, tak iż ów wiedział już, co mu czynić należy. Pan Lizio, usłyszawszy wieczorem, że Katarzyna spać się położyła, zamknął drzwi, które z jego komnaty na balkon wiodły, i sam legł na łożo.

<sup>61</sup>atoli (daw.) — lecz, jednak. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>wierę (daw.) — zaprawdę, doprawdy. [przypis edytorski]

Ricciardo zasię<sup>64</sup>, gdy już wszystko w domu ucichło, po drabinie na jeden mur się wdrapał, a potem, wystawiając się na azard<sup>65</sup> skręcenia sobie karku, na gzyms drugiego się przebrał<sup>66</sup>; aż wreszcie na balkonie nogę postawił. Katarzyna z nieopisaną radością go przyjęła. Po wielu pocałunkach legli pospołu i przez całą noc niewysłowionej rozkoszy zażywali, przy czym słowikowi po wielokroć śpiewać kazali. Uniesienia ich trwały długo, noc zasię krótka była, nie postrzegli przeto, że już dzień jest bliski. Rozgrzani miłosnymi igraszkami i porą wiosenną, usnęli obok siebie bez żadnego okrycia. Katarzyna, objąwszy prawą ręką Ricciarda za szyję, lewą trzymała mocno tę jego cząstkę, której nazwy wy, białogłowy, wielce się zawsze wśród mężczyzn sromacie<sup>67</sup>.

Gdy tak spali, dzień nastał i pan Lizio podniósł się z pościeli. Przypomniawszy sobie, że córuchna śpi na balkonie, rzekł do się, po cichu drzwi otwierając: „Obaczmyż, czy słowik swoją pieśnią spać dziś Katarzynie pozwolił”.

Podszedł do łoża, odsunął zasłonę i spostrzegł córkę obnażoną i w ramionach Ricciarda śpiącą. Poznawszy Ricciarda, nie rzekł ani słowa. Nie czyniąc hałasu do swojej komnaty powrócił, udał się do żony i tymi słowy ją zbudził:

— Wstawaj prędko, miła żono, jeśli chcesz obaczyć, jak córka twoja, która w słowiku sobie upodobała, schwytała go i dotąd go w rękę trzyma.

— Jakże to być może? — spytała żona.

— Chodź tylko prędej — odrzekł pan Lizio — a sama obaczysz.

Pani Giacomina śpiesznie się przyodziła i cichutko udała się z mężem na balkon. Zbliżywszy się do łoża córki, pan Lizio uniósł zasłonę. Wówczas jego żona obaczyła, jak to Katarzyna, w śpiewie słowika rozmiłowana, trzyma schwytanego ptaka krzepko w swoim rękę. Pani Giacomina, srodze na Ricciarda zagniewana, już krzyk podnieść chciała, ale pan Lizio wstrzymał ją i rzekł:

— Wstrzymaj się, żono, jeśli ci drogą jest miłość moja, wstrzymaj się i waruj się<sup>68</sup> ust otworzyć. Wierę, to, co córka nasza schwytała, już do niej należeć musi. Ricciardo pochodzi z zacnego rodu, jest przy tym bogatym człowiekiem. Związek z nim tedy tylko zaszczyt sprawić nam może. Jeżeli chce się żywy i cały z tego domu wydostać, musi się z Katarzyną pierwej zaręczyć i przekonać się, że słowika w swojej własnej, a nie w obcej klatce umieścił.

Żona widząc, że mąż nie turbuje się tym wszystkim zbytnio, uspokoiła się zaraz i zmiłkła, pomyślawszy, jak przyjemną noc córka jej miała; spała dobrze, a przy tym pojmała słowika. Niedługo trwało, a tymczasem Ricciardo ze snu się ocknął. Widząc, że dzień się jasny uczynił, zmartwił ze strachu, zbudził Katarzynę i zawołał:

— O moja duszo, cóż nam teraz uczynić wypada? Oto dzień się już uczynił i tu mnie zaskoczył!

Na te słowa pan Lizio przystąpił do łoża, podniósł zasłonę i rzekł:

— Co czynić? Jakoś to wszystko uładzimy!

Na ten widok Ricciardowi zdało się, że mu ktoś serce wydziera z piersi. Podniósł się natychmiast i rzekł:

— Panie Lizio, na miłosierdzie boskie, ulitujcie się nade mną. Uznaję, że jako niegodziwy i zdradziecki człowiek na śmierć zasłużyłem. Czyńcie ze mną, co chcecie, zaklinam was jednak, darujcie mi życie!

— Ricciardo — odparł pan Lizio — w samej rzeczy, za miłość moją i zaufanie, jakie dla ciebie żywiłem, nie zasłużyłem na taką zapłatę. Kiedy się jednak już stało to, do czego młodość cię skusiła, pojmij Katarzynę za żonę, dla uratowania siebie od śmierci, mnie zasię od hańby. Czym była córka moja dla ciebie przez tę noc całą, niech tym na całe życie zostanie. Tym tylko sposobem możesz mnie ułagodzić i własne życie ocalić. Jeżeli zaś się nie zgadzasz, poleć duszę swoją Bogu!

Katarzyna, słysząc groźne słowa rodzica, puściła słowika i okrywszy się, z płaczem pana Lizia prosić ją<sup>69</sup>, aby jej kochankowi przebaczył. Jednocześnie także błagała Ricciarda,

<sup>64</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>azard a. hazard — tu daw.: ryzyko. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>przebrać się (daw.) — tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>sromać się (daw.) — wstydzić się. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>warować się (daw.) — tu: pilnować się. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

aby na żądanie jej rodzica przystał i tym sposobem w spokoju więcej podobnych nocy sobie i jej zgotował.

Prośby te jednakże zbyt zbytnie były, bowiem Ricciardo wstydem za swój błąd i chęcią naprawienia go powodowany, a z drugiej strony pobudzany zarówno lękiem przed śmiercią i chęcią wydobycia się z matni, jak pragnieniem posiadania umiłowanej dziewczeczki, natychmiast, bez żadnych wybiegów, oznajmił gotowość wypełnienia woli pana Lizia. Wówczas pan Lizio wziął od żony pierścień i wręczył go Ricciardowi, który, nie mieszkając<sup>70</sup>, w przytomności<sup>71</sup> rodziców z Katarzyną się zaręczył. Po czym pan Lizio i jego małżonka ostawili oblubieńców samych, rzekłszy tylko:

— Spocznijcie teraz, należy się wam bowiem jeszcze trochę snu.

Gdy rodzice wyszli, narzeczeni rzucili się sobie znów w ramiona i do sześciu mil, które tej nocy przebyli, jeszcze dwie dodali, nim się z łoża podnieśli. Tak skończył się pierwszy dzień ich wędrówki, Ricciardo rozmówił się z panem Lizio szczegółowie<sup>72</sup> o wszystkim, a po upływie kilku dni w przytomności krewniaków i przyjaciół wziął ślub z Katarzyną, wwiódł ją uroczyście do domu swego i wspaniałe wesele wyprawił. Potem przez długi czas, dniem i nocą, w spokoju i radości łowili słowika, ile tylko zapragnęli”.

## OPOWIEŚĆ PIĄTA. DWAJ RYWALE

*Guidotto z Cremony porucza córkę swoją Giacominiowi z Pawii i umiera. Giannole di Severino i Minghino di Mingole, zakochawszy się w niej w Faenzy, bójkę o nią wszczynają. Dzieweczka, która okazuje się siostrą Giannolego, wychodzi za mąż za Minghina.*

Śluchając opowieści o słowiku damy tak się śmiały serdecznie, że gdy Filostrato umilkł, jeszcze się pohamować nie mogły. Wreszcie powściągnąwszy śmiech, królowa tak rzekła do Filostrata:

— Wierę<sup>73</sup>, jeżeli wczoraj nas zasmuciłeś, to dziś dałeś nam taką do wesela przyczynę, że żadna z nas już nie ma prawa skarżyć się na ciebie.

Potem królowa zwróciła się do Neifile i opowiadać jej rozkazała. Ta z wesołym obliczem w te słowa zaczęła:

„Filostrato w opowieści swojej do Romanii nas zawiódł, ja także myślę tam się obrócić. Wiedźcie zatem, że za dawnych czasów żyli w mieście Fano dwaj Lombardczycy, Guidotto z Cremony i Giacomino z Pawii. Obaj byli już szedziwymi<sup>74</sup> ludźmi. W młodości swojej wyłącznie niemal wojennym rzemiosłem się parali. Guidotto, czując się bliski śmierci, a nie mając syna ani przyjaciela, w którym by ufność mógł pokładać, poruczył Giacominiowi dziesięcioletnią córkę swoją wraz z całym dobytkiem, opowiedział mu szczegółowie<sup>75</sup> o wszystkich sprawach swoich i oddał ducha Bogu. Pod ten czas właśnie miasto Faenza<sup>76</sup>, wojnami i klęskami długo nękane, do bardziej pomyślnego znów doszło stanu, tak iż wszystkim dawnym mieszkańcom powrócić do grodu było wolno. Ściągnął tedy<sup>77</sup> do Faenzy i Giacomino z Cremony, który niegdyś tam mieszkał. Zabrał z sobą wszystkie swoje dostatki oraz dziewczeczkę pozostawioną mu przez Guidotta, którą jak rodzoną swą córkę miłował. Dzieweczka ta z wiekiem urodą swoją przed wszystkimi młódkami przodek w mieście wzięła, przy tym równie wdziękiem i obyczajnością, jak i pięknnością celowała. Wielu młodzieńców szczególnie ją sobie upodobało, zwłaszcza zaś dwóch urodziwych i zacnych szlachciców o względy jej po równi zabiegać poczęło. Rozgorzawszy wielką miłością do niej, wskutek wzajemnej zazdrości śmiertelną nienawiścią do siebie zapłonęli. Jednego z tych młodzieńców zwano Giannole di Severino, drugiego Minghino di Mingole. Dzieweczka już do piętnastego roku życia doszła i każdy z nich

<sup>70</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>szedziwy — dziś popr.: sędziwy; wiekowy; stary. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Faenza — miasto we Włoszech, w regionie Emilia-Romania, położone w pobliżu Rawenny, słynące od średniowiecza z wyrobów fajansowych, którym miasto użyczyło swej nazwy. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

ochotnie by ją żoną swoją uczynił, gdyby rodzice na to się zgodzili. Aliści wiedząc, że biorąc za pozór ich młodość rodzice im odmówią, postanowili inną drogą osiąść przedmiot swojej miłości i pragnienia swoje do lubego przywieść skutku. Giacomino trzymał w swym domu starego sługę i pacholka, imieniem Crivello, wesołego i krotochwilnego<sup>78</sup> człeka. Giannole zaznajomił się z nim, w sposobnej chwili odkrył mu tajemnicę swojej miłości i prosił go, aby mu dopomógł do spełnienia pragnień, obiecując mu za to sowitą nagrodę.

Wysłuchawszy go, Crivello rzekł:

— Tylko to dla ciebie uczynić mogę, że któregoś wieczoru w czasie nieobecności pana Giacomina wprowadzę cię do komnaty dziewczeczki. Gdybym zaś<sup>79</sup> jej o tobie wspomniał, nawet by słuchać mnie nie chciała. Jeżeli ci taka przysługa może być użyteczna, to ci ją obecnie przyrzekam i słowo moje zdzierzę. Twoją rzeczą będzie tak potem sobie poczynać, abyś cel pragnień osiągnął.

Giannole zaręczył mu, że niczego więcej nie pragnie, i po chwili rozmowy rozstał się z nim. Tymczasem z drugiej strony Minghino pozyskał dla siebie szedziwą służkę i tak zręcznie z nią rzecz uładził, że zanosila kilkakroć jego poselstwa do dziewczeczki i bez mała wzbudziła w niej miłość do niego. Starucha przyrzekła mu także, że go do ukochanej wprowadzi, gdy tylko któregoś wieczoru Giacomino w domu przytomny<sup>80</sup> nie będzie.

Wkrótce potem Giacomino za sprawą Crivella wyszedł z przyjacielem swoim na wieczere. Crivello natychmiast Giannola o tym uwiadomił, donosząc mu, że na umówiony znak znajdzie drzwi domu otworem stojące. Służka, nic o tym nie wiedząc, ze swej strony uprzedziła Minghina, że Giacomina w domu nie będzie. Niechaj zatem Minghino gdzieś w bliskości domu przebywa, a skoro ujrzy znak, do komnaty wchodzi!

Obaj młodzieńcy za nadejściem wieczoru, nic o sobie wzajem nie wiedząc, udali się w stronę domu Giacomina, aby na umówiony znak czekać. Ponieważ jeden drugiego zbyt pewien nie był, wzięli z sobą na wszelki przypadek kilku uzbrojonych przyjaciół. Minghino z swymi towarzyszami schronił się w pobliskim domu, należącym do jednego z przyjaciół. Giannole zaś nieco dalej się zaczął. Gdy Giacomino z domu wyszedł, Crivello i służka starali się na wypróżdki pozbyć jedno drugiego.

— Dlaczego spać się nie kładziesz? — mówił Crivello do staruchy. — Czy długo jeszcze po domu płątać się zamierzasz?

— A ty dlaczego nie idziesz za swoim panem? — odrzekła służka. — Na co jeszcze czekasz, skoro już wieczere zjadłeś?

I ani jedno, ani drugie z miejsca ruszyć się nie chciało. Crivello widząc, że zbliża się godzina, w której miał podać umówiony znak Giannolemu, rzekł sam do siebie: »Po cóż mam się o staruchę troskać? Gdy krzyk będzie podnieść chciała, znajdzie się na nią stosowny środek«.

I tak pomyślawszy, dał umówiony znak i poszedł drzwi otworzyć. Giannole wszedł natychmiast do domu wraz z dwoma towarzyszami. Dzieweczka siedziała w komnacie. Porwali ją i uprowadzić chcieli. Dziewczę poczęło krzyżeć, a w ślad za nią i służka krzyk podniosła. Minghino, usłyszawszy tumult, nadbiegł pospołu z swymi przyjaciółmi. Widząc, że dziewczeczkę z domu uprowadzają, dobyli szpad i krzyknęli:

— Śmierć wam, zdrajcy! Zuchwalstwo to nie ujdzie wam płazem! Co to za napad?!

Z tym okrzykiem rzucili się na napastników. Na larum<sup>81</sup> nadbiegli sąsiedzi ze światłem i z orężem w ręku. Wszyscy, oburzeni, po stronie Minghina stanęli. Po długiej walce udało się Minghinowi wyrwać dziewczę z rąk Giannola i z powrotem do domu Giacomina odwieść. Jeszcze bój nie ustał, gdy nadbiegli strażnicy podesty<sup>82</sup>, pochwycili wśród innych Giannola, Crivella i Minghina i do więzienia ich zabrali. Gdy już wszystko się uspokoiło, Giacomino do domu powrócił. Na wieść o całym zdarzeniu, wielkim gniewem zapłonął, przekonawszy się jednak, po bliższym zbadaniu sprawy, że dziewczeczka niczemu winna nie jest, uspokoił się nieco. Dla uniknięcia na przyszłość podobnych przytrafień, postanowił

<sup>78</sup>*krotochwilny* (daw.) — tu: skłonny do żartów, obdarzony poczuciem humoru. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*zaś* (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*przytomny* (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*larum* (z łac.) — krzyk, alarm. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*podesta* — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]



wydać ją jak najprędzej za mąż. Rodzice młodzieńców, dowiedziawszy się nazajutrz rano o przebiegu całej sprawy, pojęli, jak smutne następstwa dla obu uwięzionych rywali mieć ona może, jeżeli Giacomino będzie chciał się mścić, do czego zresztą pełne prawo posiada. Dlatego też do Giacomina się udali, usilnie go prosząc, aby dla miłości i przyjaźni dla nich nie baczył na krzywdę, którą mu ci dwaj młodzieńcy w nierozwadze swojej uczynili. Ze swej strony przyrzekli, że oni i winowajcy uczynią mu zadość we wszystkim, czego tylko od nich zażąda. Giacomino, który wiele w życiu swoim zaznał i był człekiem dobrotliwym, odpowiedział im krótko:

— Panowie! Gdybym nawet był tutaj w moim własnym kraju, tak jak jestem w waszej ojczyźnie, to i wtedy, w imię przyjaźni mojej do was, uczyniłbym wszystko, co wam może być miłe. Teraz zasię<sup>83</sup> tym bardziej jestem obligowany to uczynić, że nie mnie, a wam ujma się stała. Wiedźcie bowiem, że dziewczę to jest rodem nie z Cremony ani z Pawii, jak niektórzy mniemają, jeno<sup>84</sup> z Faenzy. Czyją córką jest, tego nie wiem, jako nie wiedział i ten, co mi ją w poruczeństwo oddał. Dlatego też ochotnie na waszą prośbę przystaję.

Zacni obywatele usłyszawszy, że dziewczeczka z Faenzy pochodzi, wielce się zadziwili. Podziękowali Giacominowi w gorących słowach za jego ludzkość, a potem prosić go jęli, aby im opowiedział, w jaki sposób dziewczeczka do niego się dostała i skąd mu wiadomo, że właśnie z Faenzy jest rodem.

Giacomino odparł na to:

— Guidotto z Cremony, mój stary druh i towarzysz broni, przed śmiercią oznajmił mi, że gdy Faenza przez cesarza Fryderyka zdobyta i na złupienie wydana została, wpadł z towarzyszami do pewnego domu, który pełen różnorodnego dobytku przez mieszkańców był opuszczony. W domu tym pozostała tylko dziewczeczka licząca wówczas trzeci rok życia. Gdy Guidotto po schodach wchodził, zawołała nań „ojcze”. Tkliwością zdjęty, wziął z sobą dziewczeczkę do Fano, wraz ze wszystkim, co w opuszczonym domu był znalazł. Na łożu śmiertelnym się znajdując, powierzył mi ją wraz z całym majątkiem i zobowiązał mnie, abym, gdy do lat żrałych<sup>85</sup> dojdzie, za mąż ją wydał, dając jej jako wiano wszystko, co po sobie ostawił. Teraz już do zameścia jest zdolna, aliści<sup>86</sup> nie znalazłem jeszcze dotąd młodziana, co by mi do serca przypadł. Rad bym ją jak najprędzej dać w stadło, aby podobne przytrafienia, jak w dniu wczorajszym, już się powtórzyć nie mogły.

Wśród przytomnych<sup>87</sup> znajdował się niejaki Wilhelm z miasteczka Medicina, który wraz z nieboszczykiem Guidotto wówczas w Faenzy plądrując, pamiętał doskonale, czyj dom Guidotto zrabował. Wilhelm zbliżył się tedy<sup>88</sup> do właściciela owego domu i rzekł:

— Bernabuccio, zali<sup>89</sup> słyszałeś, co Giacomino powiedział?

— Słyszałem — odparł Bernabuccio, który znalazł się między przybyłymi — i właśnie nad tym zamyśliłem się, bo jeżeli to w moim domu się stało, musiała to być moja córka, wiadomo ci bowiem, że w ówczesnym zameście utraciłem córeczkę w podanym przez Giacomina wieku.

— Nie lza<sup>90</sup> wątpić, że to twoje dziecię! — zawołał Wilhelm. — Guidotto, jak pomnę, opisywał ów zrabowany przez się dom tak, iż upewniony być mogę, że wszystko to u ciebie się działo. Przypomnij sobie, czy córka twoja nie miała jakiegoś szczególnego znaku, po którym mógłbyś ją poznać.

Bernabuccio na te słowa przypomniał sobie, że córka jego, w samej rzeczy, nad lewym uchem miała bliznę w kształcie krzyża, pozostałą po wrzodzie, który przed owym zdarzeniem przeciąć jej kazał. Zbliżył się tedy do Giacomina i poprosił go, aby mu dziewczeczkę pokazał. Giacomino ochotnie do swego domu go zawiódł i dziewczeczkę przywołać kazał. Bernabuccio spojrzawszy na nią obaczył zaraz w jej rysach wielkie podobieństwo do matki, która mimo swego wieku, jeszcze piękną niewiastą była. Aby jednak jeszcze lepiej się upewnić, poprosił Giacomina o pozwolenie podniesienia dziewczęciu włosów nad

<sup>83</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>żrały (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>88</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

lewym uchem, na co Giacomino przystał. Bernabuccio, zbliżywszy się do osłupiałej dziewczki, podniósł jej włosy i obaczył natychmiast znamię w kształcie krzyża. Na ten widok za córkę swoją ją uznał, zapłakał cicho i wziął ją w ramiona, jeszcze pełną pomieszania i zawstydenia. Potem, obróciwszy się do Giacomina, rzekł:

— Drogi przyjacielu! Dzieweczka ta jest moją córką. Dom, który Guidottowi na łup wydano, był moim domem. Żona moja w śmiertelnej trwodze i pośpiechu dziecię w nim ostawiła. Ponieważ zasię dom mój tego dnia zgorzał, więc mniemaliśmy, że dziecię pastwą ognia padło.

Dzieweczka, słysząc te słowa i widząc, że jest szedziwym i czcigodnym człkiem, uwierzyła we wszystko, co mówił. Jakby jakąś tajną skłonnością wiedziona, padła mu w ramiona i pospołu z nim płakać poczęła. Bernabuccio posłał zaraz po żonę i swoich krewniaków, a także po braci i siostry dziewczęcia. Pokazał ją im i całą historię opowiedział. Tysiącem pieśzot i pocałunków córkę obsypawszy, za zgodą Giacomina, po wyprawieniu wspaniałej uczy, Bernabuccio do swego domu ją zabrał. Kapitan grodu, człek ludzkiego serca, usłyszawszy całą historię i wiedząc, że pochwycony Giannole, jako syn Bernabuccia, rodzonym bratem dziewczki się okazał, postanowił jego winę w niepamięć puścić. Narodziwszy się z Bernabucciem i Giacominem, rozkazał Giannola i Minghina na wolność wypuścić. Minghino, ku wielkiemu ukontentowaniu całej rodziny, ożenił się z dziewczką, którą Agnesą zwali. Crivello i inni w tę sprawę zamieszani także wolność odzyskali. Minghino wspaniałą ucztę weselną wyprawił, a potem żył długie lata z Agnesą w szczęściu i spokoju”.

## OPOWIEŚĆ SZÓSTA. SZCZĘŚLIWE SPOTKANIE

*Gianni z Procidy przychwycony z umiłowaną dziewczką, która ofiarowana była królowi Fryderykowi, przywiązany zostaje do słupa, aby pospołu z nią ponieść śmierć na stosie. Poznany przez Ruggiera de Loria, uchodzi śmierci i dziewczkę w stadło pojmuje.*

Gdy opowieść Neifile, która damom wielce się podobała, do końca została dowiedziona<sup>91</sup>, królowa rozkazała zacząć Pampinei. Ta, podniósłszy jasną twarzyczkę swoją, rzekła w te słowa:

— Niezmierną, miłe towarzyszyki moje, jest potęgą miłości. Daje ona kochankom męstwo do najtrudniejszych przedsięwzięć i stałość wobec strasznych i nieoczekiwanych niebezpieczeństw. Przekonać się o tym mogliście już z wielu przykładów przytoczonych tak dzisiaj, jak i w inne dni. Mimo to pragnę wam dać nowy dowód w powieści o pewnym zakochanym młodzieńcu.

„Ischia jest wyspą w pobliżu Neapolu leżącą. Przed dość dawnym czasem żyła na niej bardzo urodziwa dziewczka, imieniem Restituta, córka pewnego szlachcica, Marino Bolgaro. Miłowała ona nad życie młodzieńca, imieniem Gianni, pochodzącego z sąsiedniej wysepki Procidy, a on również był w niej rozmiłowany. Młodzieniec ów nie tylko, że w dzień na Ischię przybywał, ale często, nie znalazłszy łódki, nocą drogę z Procidy na Ischię wplaw przebywał, aby ujrzeć jeśli nie ją, to przynajmniej mury jej domu. Gdy gorąca ich miłość tak trwała, zdarzyło się, że dziewczka wyszła pewnego dnia letniego na samotną przechadzkę nad brzeg morski. Przechodząc ze skały na skałę, odrywała nożem muszle od kamieni i tak, sama nie wiedząc kiedy, doszła do małej zatoki ukrytej za urwiskiem. Kilku młodych Sycylijczyków, płynących z Neapolu na swojej fregacie, zwabionych chłodnym cieniem i powabem czystego źródła, tryskającego na brzegu, wczasowi<sup>92</sup> tutaj się oddawało. Obaczywszy młodą i piękną dziewczkę, która ich jeszcze nie spostrzegła, i przekonawszy się, że jest sama, postanowili pochwycić ją i wprowadzić z sobą. Co umyślili, tego dokonali. Mimo oporu i krzyków młódki zaciągnęli ją na pokład fregaty i odpłynęli.

Gdy przybyli do Kalabrii i umawiać się poczęli, komu dziewczka ma przypaść w udziale, okazało się, że każdy ją tylko dla siebie mieć pragnie. Widząc, że się pogodzić nie mogą, i obawiając się, że z jej przyczyny jeszcze do bójkii przyjść by mogło, dzięki czemu różne

<sup>91</sup>dowiedziona — tu: doprowadzony. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

ich sprawy zły obrót by wzięły, postanowili darować młodkę królowi Sycylii, Fryderykowi. Młody naonczas król był wielkim lubownikiem<sup>93</sup> pięknych kobiet. Zamysł swój wykonali zaraz po przybyciu do Palermo. Król wielce sobie dziewczeczkę upodobał i z radością w podarunku ją przyjął. Szwankując jednak wówczas nieco na zdrowiu, rozkazał umieścić ją w wspaniałym pałacu, położonym w jednym z jego ogrodów, zwanym Cuba, i pilnować jej, dopóki sił utraconych nie odzyska. Tak się też stało.

Tymczasem cała Ischia z powodu porwania Restituty w największym poruszeniu była. Krewniaków dziewczeczki najbardziej trapiła myśl, kim byli ci, co ją porwali. Gianni zaś, który więcej od innych się turbował, nie czekając, aż jakaś wieść na Ischię nadejdzie, dowiedział się, w którą stronę fregata się skierowała, a potem kazał uzbroić okręt i czym prędzej przeszukał na nim całe wybrzeże, od przylądka Minerwa aż do Scalea w Kalabrii. Wszędzie po drodze zapytywał się o swoją umiłowaną dziewczeczkę. Wreszcie w Scalea powiedziano mu, że sycylijscy marynarze do Palermo ją powieźli. Na tę wieść Gianni natychmiast do Palermo popłynął. Po wielu poszukiwaniach, starań i zachodów nie litując<sup>94</sup>, dowiedział się, że Restitutę подарowano królowi i że znajduje się ona pod strażą w Cuba. Nowina ta silnie Gianniego wzburzyła, postradał on prawie całą nadzieję nie tylko posiadania swojej umiłowanej, ale nawet ujrzenia jej kiedykolwiek. Mimo to, siłą miłości powodowany, odesłał swój okręt i pozostał w Palermo, wiedząc, że go tutaj nikt nie zna. Przechodząc często koło pałacu, ujrzał pewnego dnia Restitutę w oknie. Restituta także go spostrzegła; z tego ujrzenia się oboje niewysłowioną radość odnieśli. Gianni, widząc, że miejsce jest odosobnione, podszedł do okna tak, żeby dziewczeczka słowa jego usłyszeć mogła, i dowiedział się, co czynić, ażeby pomówić z nią z bliska. Po czym odszedł, rozejrzawszy się szczegółowie<sup>95</sup> po okolicy.

Gdy noc zapadła i część jej znaczna już minęła, Gianni powrócił; wdrapał się na mur tak gładki, że dzięcioł by się na nim ledwo mógł utrzymać i przebrał się<sup>96</sup> do ogrodu. Tutaj znalazł wysoki drąg, przystawił go do okna i z wielką zręcznością wspiął się przy jego pomocy do okna kochanki. Restituta, zważywszy, że część jej, ze względu na którą nieco surowie<sup>97</sup> z Giannim postępowała, już na wieki przepadła, do tej myśli przyszła, że godność jej najmniej ucierpi, gdy do Gianniego należeć będzie. Dlatego też postanowiła wszystkie jego życzenia wypełnić, żywiąc nadzieję, że Gianni ją oswobodzi. Ostawiła tedy<sup>98</sup> okno otworem, aby kochanek łatwiej mógł do jej komnaty przeniknąć. Gianni wszedł przez okno i legł obok dziewczeczki na łożu. Restituta odkryła mu wszystkie swoje zamysły, błagając go, aby ją uwolnił i zabrał z sobą. Gianni odparł na to, że i on niczego bardziej nie pragnie i że następnego dnia całą rzecz uładzi, by wziąć ją z sobą, gdy następnym razem do niej przybędzie. Potem uścisnęli się i pełni uniesienia oddali się rozkoszy, nad którą miłość większej dać nie może. Powtarzając te igraszki, nie postrzegli, jak ze znużenia zasnęli jedno w objęciach drugiego. Tymczasem król, któremu Restituta na pierwszym pojrzeniu wielce do smaku przypadła, przypomniał sobie o niej, a czując się na siłach skrzepiony, postanowił pewien czas z nią spędzić, chociaż się już i ranek zbliżał. W towarzystwie kilku sług udał się zatem bez zapowiedzi do Cuby. Wszedł do pałacu niepostrzeżony przez nikogo, kazał otworzyć po cichu drzwi do komnaty, w której dziewczeczka spała, i z zapaloną pochodnią stanął na progu. Spojrzawszy na łoże, obaczył ją obnażoną i śpiącą w ramionach Gianniego. Na ten widok takim gniewem zapłonął, nie mówiąc ani słowa, że z trudem pohamował się, aby kochanków nie przebić sztyltem, który zawsze u pasa nosił. Zważywszy jednak, że pozbawienie życia ludzi bezbronnych, we śnie się znajdujących, byłoby sromotą dla każdego, a cóż dopiero dla króla, powściągnął swój gniew i postanowił publicznie na stosie ich spalić. Obróciwszy się do jedynego towarzysza, którego miał przy boku, rzekł:

— Co myślisz o tej nierządnej białogłowie, po której sobie tyle obiecywałem?

<sup>93</sup>lubownik (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>litować (daw.) — tu: żalować, skąpić. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>przebrać się — tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>surowie — dziś popr.: surowo. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Potem spytał go, zali<sup>99</sup> zna młodzieńca tak zuchwałego, że królowi podobną hańbę we własnym jego domu wyrządzić się odważył. Zapytany odrzekł, że nie przypomina sobie, aby tego młodzieńca kiedykolwiek widział. Wówczas król, srodze poburzony, wyszedł z komnaty rozkazawszy wprzód oboje kochanków, tak obnażonych, jak są, przytrzymać, związać i za dnia do Palermo na rynek odprowadzić. Tam zasię<sup>100</sup> przywiązać ich do pała plecami do siebie i tak trzymać ich aż do godziny trzeciej, aby ich wszyscy obaczyć mogli, a po upływie tego czasu spalić, jak na to zasłużyli. Taki rozkaz wydawszy, król, pełen rankoru<sup>101</sup> i złości, do pałacu swego w Palermo powrócił.

Po oddaleniu się króla słudzy nie tylko zbudzili kochanków ze snu, ale natychmiast bezlitośnie rzucili się na nich, aby im ręce i nogi związać. Imaginujciez sobie, jakim smutkiem to nagle nieszczęście kochanków przejąć musiało i jak poczęli drzeć z trwogi o życie swoje, płakać i narzekać. Zgodnie z rozkazem króla zawiedziono ich do Palermo i na placu do jednego słupa przywiązano. Po czym na ich oczach stos wznosić poczęto, aby o wyznaczonej przez króla godzinie karze ognia podlegli. Na plac zbiegła się wkrótce ciżba ludzi, z mieszkańców Palermo złożona, dla obejrzenia nieszczęsnych miłośników. Mężczyźni, cisnący się dla przyjrzenia się młodej dziewczynie, głośno wychwalali jej urodę i kształtowne ciała złożenie, białogłowy zasię nie mogły się dość nawysławiać piękności młodzieńca. Nieszczęśni kochankowie, okrutnego sromu<sup>102</sup> pełni, stali z opuszczonymi głowami, oplakując swój los przeciwny i z godziny na godzinę czekając na śmierć w płomieniach.

Gdy w ten sposób oczekiwali chwili wykonania wyroku, opowieść o ich winie, z ust do ust przechodząc, doszła wreszcie do pana Ruggiera de Loria, męża osobliwej dzielności, który podówczas urząd królewskiego admirała sprawował. Ruggieri de Loria, chcąc ich zobaczyć, przybył na plac; spojrzawszy najpierw na dziewczeczkę zachwyił się jej pięknnością. Gdy potem wzrok na młodzieńca obrócił, poznał go zaraz, przystąpił tedy do niego i zapytał, zali zowią go Giannim z Procidy. Gianni podniósł głowę, a poznawszy admirała rzekł:

— Tak, panie, byłem tym, o kogo się pytaacie, i kim już wkrótce być przestanę!

Wówczas admirał zapytał, co go do takiego stanu przywiodło.

— Miłość — odparł Gianni — i gniew króla.

Ruggieri poprosił go, aby mu o wszystkim szczegółowie<sup>103</sup> rozpowiedział. Wystuchawszy opowieści nieszczęśnika, chciał odejść śpiesznie, aliści<sup>104</sup> Gianni zatrzymał go i rzekł jeszcze:

— Ach, czcigodny panie, jeżeli to tylko w waszej mocy leży, wyjednajcie mi jedną łaskę u tego, z czyjego rozkazu tu na stosie stoję.

— Jakaż to łaska? — spytał Ruggieri.

— Wiem — odrzekł Gianni — że niedługo już umrzeć muszę i dlatego tej łaski się dopraszam, abym nie był obrocony plecami do dziewczeczki, którą nad życie me kocham, podobnie jak i mnie ona, ale twarzą w twarz z nią ginął i tym sposobem w chwili śmierci z jej oblicza pociechę i spokój mógł czerpać.

Ruggieri rzekł ze śmiechem:

— Ochotnie to uczynię, a nawet postaram się o to, abyś mógł na nią patrzeć jeszcze tak długo, aż ci obmierznie.

Po tych słowach odszedł, rozkazawszy wprzód wykonawcom wyroku, aby nic więcej poczynać się nie ważyli, póki nowych poleceń od króla nie otrzymają. Później nie mieszkając<sup>105</sup> udał się do króla i chocia srodze gniewliwego go znalazł, wypowiedział otwarcie swój sąd.

— Miłościwy panie — rzekł — jakaż krzywdę wyrządziła ci ta para, którą z rozkazu waszego na placu spalić mają?

Król opowiedział mu całą historię.

<sup>99</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>rankor (daw.) — żal, złość. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>srom (daw.) — wstyd, hańba. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>szczególwie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

— Postępek ich zasługuje na karę, aliści nie wy ich karać powinniście. A jak za zbrodnie należy się kara, tak też szlachetne czyny nagradzać trzeba, nie mówiąc już o łasce i miłosierdziu. Czy wiecie, kim są ci, których spalić rozkazaliście?

— Nie — odrzekł król.

— Pragnę — rzekł Ruggieri — abyście dowiedzieli się o tym i wnieśli z tego, że za popędem pierwszego gniewu nigdy iść nie lza<sup>106</sup>. Młodzieniec ów jest synem Landolfa z Procidy, rodzonego brata owego Gianniego z Procidy<sup>107</sup>, przy którego pomocy zostaliście królem i władcą tej wyspy. Dzieweczka zasię to córka Marina Bolgaro, którego wpływowi zawdzięczacie, że Ischia dotąd panowanie wasze nad sobą uznaje. Ci młodzi ludzie od dawna się wzajemnie miłują; pobudzani tym uczuciem, a nie chęcią obrazy waszego majestatu, grzech ten popełnili (jeśli grzechem można nazwać to, do czego miłość młodych doprowadza). Przeczże<sup>108</sup> zatem wysyłacie na śmierć ludzi, których oznakami czci osobnej i bogatymi darami obsypać powinniście?

Król, wysłuchawszy tych słów i poznawszy, że Ruggieri prawdę powiada, nie tylko wstrzymał wykonanie okrutnego wyroku, ale począł żałować nawet tego, co dotychczas uczynił. Rozkazał, aby młodą parę natychmiast od słupa odwiązano i przyprowadzono przed jego oblicze. Tak się też stało. Po czym poznawszy sprawy ich dokładnie, król rozważył, jakimi by to darami i osobnym uczczeniem za tak ciężką krzywdę ich wynagrodzić. Namysłiwszy się, polecił ich przybrać w wspaniałe szaty, a potem, gdy się przekonał, że oboje gorąco połączyć się pragną, rozkazał Gianniemu ożenić się z Restitutą, obdarzył ich bogatymi podarkami i wielce szczęśliwych do ojczyzny z powrotem wyprawił, gdzie z wielką radością ich przyjęto. Gianni i Restituta żyli jeszcze długo w szczęściu i spokoju”.

## OPOWIEŚĆ SIÓDMA. VIOLANTA

*Teodor, zakochawszy się w Violancie, córce pana swego, imć Ameriga, czyni ją brzemienną i za to na szubienicę skazany zostaje. Gdy go pod różgami na kaźń wiodą, poznaje go i uwalnia jego rodzic. Teodor żeni się z Violantą.*

Damy, z natężeniem oczekujące, co się z kochankami stanie i czy w samej rzeczy na stosie spalenia zostaną, poweselały, usłyszawszy o ich wybawieniu się od śmierci i Bogu dank<sup>109</sup> złożyły. Królowa skinęła na Laurettę, a ta z radością w te słowa zaczęła:

„Gdy szlachetny król Wilhelm rządy nad Sycylią sprawował, żył na tej wyspie pewien szlachcic, Amerigo Abbate z Trapani zwany, który wśród obfitości wszelkich dóbr doczesnych także mnóstwo dzieci posiadał. Potrzebując licznej służby, kupił kilku otroków<sup>110</sup> od genueńskich korsarzy, którzy grabiąc brzegi Armenii, wiele dzieci uprowadzili, a teraz, płynąc ze Wschodu, ze swymi galerami do portu zawinęli. Amerigo otroków za Turków uważał. Wśród niewolników, pozór pastuchów mających, jeden chłopiec szlachetniejszą postawą i gładszymi obyczajami się wyróżniał. Zwali go Teodorem. Chociaż za niewolnika był uważany, pozostał w domu pana Ameriga i rósł pospołu z jego dziećmi. Raczej dzięki szczęśliwej naturze swojej niż dzięki pomyślnemu zrządzeniu przypadku zdołał wkrótce tak szlachetnych obyczajów nabrać, że pan jego, przychylnością do niego powodowany, wolnością go obdarzył. Mniemając zasię<sup>111</sup>, że Teodor jest Turkiem, ochrzcić go przykazał i dać imię Piotra. Potem Amerigo marszałkiem swym go uczynił i w zupełności mu zaufał. Wraz z innymi dziećmi pana Ameriga wzrastała córka jego, Violanta, wielce urodziwa dziewczeczka. Gdy ojciec za mąż wydać ją się zbierał, Violanta w Piotrze się zakochała. Miłując go gorąco i przymioty jego wielce ceniąc, nie miała jednak odwagi odkryć mu afektów swoich, aliści<sup>112</sup> wkrótce Amor z tego zatrudnienia ją wywiódł. Piotr bowiem, spojrzawszy na nią kilka razy ukradkiem, tak się nią zachwycił

<sup>106</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Giovanni da Procida (1210–1298) — Jan z Procidy, włoski lekarz i dyplomata średniowieczny, przeciwnik Karola Andegawęńskiego, brał udział w przygotowaniu Nieszporów Sycylijskich: powstania, które w 1282 r. oddało władzę na Sycylii królowi aragońskiemu Piotrowi III. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>przeczże — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>otrok (daw.) — chłopiec, młokos. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]



i tak w niej rozmiłował, że czuł się wtedy tylko szczęśliwy, gdy z nią razem przebywać mógł. Obawiał się jednak, aby ktoś miłości jego nie odkrył, wydawało mu się bowiem, że źle sobie poczyna. Dzieweczka, ochotnie w towarzystwie Piotra przebywająca, tajemnicę jego odgadła, a chcąc dodać mu odwagi i otuchy, wielkie ukontentowanie po sobie pokazała. Przez długi czas jeszcze pozostawali w niepewności, jak swe uczucia wzajemne sobie wyznaczyć, chociaż gorąco pragnęli porozumieć się z sobą. Gdy tak cierpieli, ogniem namiętności gorejąc, los, jakby rozmyślnie czyniąc, w sukurs<sup>113</sup> im przyszedł i pokazał im drogę do stłumienia lęku wiodącą. Amerigo posiadał piękną majątność, o miłą od miasta Trapani leżącą. Żona jego z córką i różnymi damami przebywała tam często dla wytchnienia. Pewnego dnia zdarzyło się, że w upalny dzień udały się na wieś, wzięwszy z sobą także i Piotra. W czasie ich przechadzki nagle, jak to często w lecie się zdarza, niebo pokryło się ciemnymi chmurami. Damy, nie chcąc być burzą zaskoczone, wyruszyły w powrotną drogę do Trapani. Piotr i Violanta, jako ludzie młodzi, wyprzedzili znacznie żonę pana Ameriga i jej towarzyszkę; może nie tylko obawa niepogody, ale i miłość kroki ich przyspieszyła. Oddaliwszy się od reszty kompanii tak, że ledwie widziani być mogli, poczuli, że po wielu grzmotach, grad gruby i gęsty sypać poczyna. Damy schroniły się do domu pewnego wieśniaka, co się zaś Piotra i Violanty tyczy, to nie widząc innego schronu, wpadli do starej, pochylonej rudery, w której nikt już nie mieszkał. Dach tej chaty był bardzo uszkodzony; tylko cząstka jego pozostała. Młodzi ludzie dla ciasnoty kąta, w którym stali, musieli się zetknąć z sobą. Ta okoliczność dodała im odwagi do wzajemnych oświadczeń i była pobudzeniem ich miłosego pragnienia. Piotr pierwszy zaczął w te słowa:

— Dałby Bóg, aby ten grad nigdy nie ustawał, dopóki bowiem sypie, mogę się stąd nie ruszać.

— Ach, i ja bym tego chciała — odparła Violanta.

Rzekłszy to, uściśniły ręce, po czym objęły się i pocałowali, podczas gdy grad wciąż po dawnemu sypał.

Nie będę się tu nad każdym szczegółem szerzyła<sup>114</sup>, to jeno<sup>115</sup> powiem, że nim się niebo wyjaśniło, Piotr i Violanta najwyższe uniesienia miłości poznali i umówili się o sposób tajnego widywania się z sobą. Gdy grad padać przestał, poczekali u niedalekich bram miasta na matkę Violanty i wraz z nią do domu powrócili. Od tego dnia nieraz jeszcze, wielką ostrożność zachowując, schodzili się razem ku mnogiej radości swojej. Wreszcie Violanta brzemienią się poczuła, co niemało strapienia im przyczyniło. Nie omieszkła próbować różnych środków, aby pozbyć się płodu przed czasem, jednakże wszystkie jej starania na niczym spełzły. Wówczas Piotr, obawiający się o życie swoje, postanowił uciec, o czym Violancie powiedział.

— Jeśli mnie opuścisz — rzekła Violanta — to bądź upewniony, że życie sobie odbiorę.

Piotr gorąco ją miłujący odparł:

— Nie mogę tu pozostać, najdroższa moja! Brzemienność twoja wnet jawną się stanie i postępek nasz zdradzi. Tobie przebaczą z łatwością, ja zaś, nieszczęsny, za twoją i swoją winę będę musiał odpokutować.

— Piotrze — odrzekła na to Violanta — mój grzech istotnie na jaw wyjdzie, co się jednak twego tyczy, to bądź upewniony, że nikt o nim wiedzieć nie będzie, jeśli tylko ty sam o nim nie powiesz.

— Jeżeli tak — zawołał Piotr — to zostanę. Pamiętaj jednak, abys swoją obietnicę zdzierzyła!

Violanta ukrywała długo stan swój, widząc jednakże, że wygląd jej dalszą tajemnicę niemożliwą czyni, wyznała pewnego dnia matce wszystko, rześnistymi łzami się zalewając i błagając ją o przebaczenie i litość. Matka, bólem wielkim przejęta, zganiała ją ostrymi słowami i żądała wyznania, kiedy i z kim się to zdarzyło. Dzieweczka, nie chcąc biedy na Piotra sprowadzać, wymyśliła jakąś baśń i za prawdę ją podała matce, która uwierzywszy wszystkiemu, wysłała córkę dla ukrycia jej błędu do jednej z ich posiadłości.

<sup>113</sup>przyjść w sukurs — przyjść z pomocą. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>szerzyć się — tu: rozwozić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Gdy czas połogu nadszedł i chora, kobiecym obyczajem, w bólach krzyczeń poczęła, zdarzyło się to, czego matka najmniej się spodziewała — że pan Amerigo, który dotychczas w tej wiosce prawie nigdy nie bywa, wracając z polowania, krzykiem tym zadziwiony, podjechał pod dom i wszedł nagle do komnaty, aby spytać się o powód wrzawy. Matka, będąca w tej chwili przy córce, obaczywszy swego męża, podniosła się i z płaczem powtórzyła mu to, co jej Violanta opowiedziała. Aliści pan Amerigo, mniej od żony łatwowierny, odparł, że niemożliwą jest rzeczą, aby dziewczyna nie wiedziała, od kogo jest brzemienną, i zażądał szczerego wyznania prawdy, mówiąc, że jest to jedyny środek do uzyskania jego przebaczenia. W przeciwnym razie zasię niechaj na pewną i okrutną śmierć się gotuje! Na próżno matka Violanty siła się wmówić w niego ową bajkę, której sama uwierzyła. Wysiłki jej na niczym spełzły. Amerigo, srogim gniewem zapalony, rzucił się z obnażoną szpadą na córkę, która w tym czasie synka powiła, i krzyknął:

— Albo mi wyznasz, kto jest ojcem twego dziecięcia, albo zginiesz na miejscu!

Z trwogi przed śmiercią złamała Violanta dane Piotrowi słowo i wyznała ojcu wszystko, co między nimi zaszło. Rycerz, wysłuchawszy Violanty, wpadł w taką wściekłość, że ledwie od zamordowania córki pohamować się zdołał. Dawszy w słowach folgę gniewowi swemu, wsiał z powrotem na konia i do Trapani popędził. Przybywszy do grodu, oskarżył Piotra przed Konradem, królewskim namiestnikiem, o hańbę wyrządzoną jego domowi. Namiestnik kazał Piotra niespodzianie pochwycić i wziąć go na pytki, celem dobytca z niego dokładniejszych zeznań; potem skazał go na przepędzenie kijami przez całe miasto, a następnie na powieszenie. Aby zaś ta sama godzina była kresem życia obojga kochanków i ich dziecięcia, pan Amerigo, który gniewu swego wyrokiem śmierci na Piotra jeszcze nie zaspokoił, wyspał truciznę do kielicha z winem i powierzył go wraz z ostrym szyletem jednemu ze sług swoich, mówiąc doń:

— Udaj się z tym do Violanty i w moim imieniu jej powiedz, aby, nie mieszkając<sup>116</sup>, jeden z tych dwóch rodzajów śmierci wybrała. Niechaj ginie od trucizny lub od noża, w przeciwnym razie, jak na to zasłużyła, w obliczu całego miasta na stosie spłonie. Skoro zaś tego dokonasz, pochwyć chłopca, którego Violanta przed kilkoma dniami na świat wydała, rozbij mu głowę o ścianę i rzuć go potem psom na pożarcie.

Otrzymawszy od okrutnego ojca taki rozkaz, córki jego i wnuka się tyczący, sługa, do złego chętny, poszedł go wykonać. Tymczasem Piotr, na śmierć skazany, pędzony był uderzeniami kijów do szubienicy. Pachołkowie wiedli go koło gospody, w której trzech szlachciców armeńskich mieszkało. Byli to posłowie, wysłani przez króla Armenii do Rzymu dla porozumienia się z papieżem w ważnych sprawach, przejścia wojsk dotyczących. Zatrzymali się oni w Trapani przez dni parę dla wypoczynku i skrzepienia sił, przyjmowani z osobną<sup>117</sup> czcią przez dostojnych obywateli miasta z panem Amerigo na czele. Trzej posłowie, widząc przechodzący orszak z Piotrem pośrodku, podeszli przez ciekawość do okna. Piotr był do pasa całkiem obnażony i ręce miał na plecach związane. Jeden z posłów, nazwiskiem Fineo, człek w podeszłym wieku i wielkiej powagi, spostrzegł na piersi młodzieńca wielką ognistej barwy plamę, nie wymalowaną, jeno<sup>118</sup> będącą przyrodzonym na skórze znamieniem. Na ten widok wspomniął pan Fineo swego syna, którego mu przed piętnastu laty korsarze na wybrzeżu Laiazzo porwali. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Zważywszy wiek nieszczęśnika pędzonego przez katów, pomyślał, że syn jego, gdyby jeszcze przy życiu się znajdował, w tym samym wieku być by musiał. Uderzony widokiem znamienia podejrzewać począł, że skazaniec jest jego synem. Wówczas przyszło mu do głowy, że jeśli tak jest w samej rzeczy, to młodzieniec winien przypomnieć sobie swoje imię oraz imię ojca i zrozumieć słowa armeńskiego języka. Dla tego też, gdy skazaniec do okna się zbliżył, Fineo zawołał:

— Teodorze!

Na dźwięk tego imienia Piotr podniósł natychmiast głowę. Wówczas Fineo spytał go po armeńsku:

— Skąd pochodzisz i kto był twoim rodzicem?

Pachołkowie kata przez wzgląd na osobę posła zatrzymali się, tak iż Piotr mógł odpowiedzieć:

<sup>116</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>osobny (daw.) — tu: osobliwy, szczególny. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Pochodzę z Armenii. Rodzic mój zwał się Fineo. Nieznani ludzie przywieźli mnie tutaj, gdy jeszcze małym dzieckiem byłem.

Na te słowa Fineo ponad wątpliwość poznał w młodzieńcu swego utraconego syna. Z płaczem zbiegł po schodach wraz z towarzyszami swymi i pośród siepaczy chwycił Teodora w objęcia. Po czym okrył go płaszczem z drogocennej materii, zdjętym z własnych ramion, i poprosił dowódcy, aby przez wzgląd na jego osobę, wstrzymał się, dopóki nowych rozkazów nie otrzyma. Dowódca chętnie zgodził się na to.

Fineo wiedział już, za jaką to winę Teodora na kaźń wiedli, bowiem słuchy o tym po całym mieście obiegały. Dlatego też co żywo z towarzyszami swymi i ze świtą do Konrada się udał i tak rzekł do niego:

— Panie! Młodzieniec ten, którego jako niewolnika na śmierć skazaliście, jest wolnym człkiem i moim synem. Gotów on jest pojąć za żonę dziewczeczkę, którą jak mówią, zbzczył. Odlóżcie przeto wykonanie wyroku aż do chwili, gdy przyjdzie wiadomość, czy dziewczeczka chce go za męża, iżbyście nie uchybili prawu, gdyby taka była jej wola.

Konrad usłyszawszy, że Piotr jest synem pana Fineo, wielce się zadziwił. Wstydząc się omyłki z winy przypadku i zważywszy, że prośba Fineo jest słuszna, polecił skazańca do domu z powrotem odprowadzić, a sam tymczasem wezwał pana Amerigo i o wszystkim go powiadomił.

Pan Amerigo, przekonany, że córka jego i wnuk już nie żyją, męki cierpiąc najsroźsze, nie mógł przeboleć tego, co uczynił. Widział bowiem, że gdyby Violanta nie umarła, wszystko dałoby się ułożyć jak najlepiej. Niemniej jednak pchnął w lot umyślnego do córki, by wstrzymał wypełnienie jego nakazu, o ile ten jeszcze wykonany nie został. Wyślannik zastał przybocznego pana Amerigo w chwili, gdy położywszy przed nieszczęsną sztylet i truciznę, zelżywymi obrzucal ją słowami za to, że ociąga się z wyborem, do którego chciał ją przymusić. Ale posłyszawszy wolę swego pana, pozostawił Violantę i powrócił, by ze stanu rzeczy zdać mu sprawę.

Uradowany obrotem sprawy, Amerigo udał się niezwłocznie do Finea. Ze łzami niemal usprawiedliwiał się, jak umiał, i o przebaczenie go prosił za to, co się stało, zaręczając, że jeśli tylko Teodor chce poślubić jego córkę, odda mu ją z najwyższą radością.

Fineo życzliwie przyjął jego usprawiedliwienie i odparł:

— Jest wolą moją, aby syn mój poślubił córkę waszą; jeśli by zaś się wzdragał, niech się dopełni wyrok na niego wydany.

Skoro więc i Fineo, i Amerigo jednej byli myśli, udali się tam, gdzie czekał ciągle Teodor, przejęty zarówno lękiem przed śmiercią, jak i radością z odnalezienia rodzica. Zapytali go, jaka jest w tym jego wola. Gdy Teodor usłyszał, że Violanta, jeśli zechce, może stać się jego żoną, tak niepomierną odczuł radość, jakby z piekiel jednym skokiem znalazł się w raju. Oświadczył tedy<sup>119</sup>, że byłoby to dla niego łaską najwyższą, jeżeli tylko obaj ojcowie na to przyzwolą. Posłano więc do młodej niewiasty, by i ona wyraziła swą wolę. Violanta, bardziej bólem zmożona niż jakakolwiek inna kobieta, oczekiwała śmierci. Usłyszawszy, jakie były i jakie być miały losy Teodora, po długiej dopiero chwili zaczęła dawać wiarę tym słowom i uspokoiła się nieco, odpowiadając, że jeśli o nią idzie, nic większej radości sprawić jej nie może, jak oddanie ręki Teodorowi. Aliści posłuszną będzie woli ojca swego.

Gdy więc tak zgoda powszechna doprowadziła do zaślubin Violanty, fetowano je jak najwspanialej ku ucieście wszystkich mieszkańców. Młoda niewiasta, uspokojona, karmiąc swego synka, niebawem stała się piękniejszą niż kiedykolwiek. Powstawszy z łoża, gdy Fineo powrócił z Rzymu, oddała mu cześć, jaka ojcu przynależy, on zasię<sup>120</sup>, synową taką ciesząc się niepomiernie, gdy im wyprawił z niewidzianym przepychem i wesołością, a ją za córkę przybrał i zawsze odtąd poczytywał. A gdy minęło dni kilka, syna wraz z nią i małym wnuczkiem zabrał z sobą statkiem do Laiazzo, gdzie w spokoju i dostatku oboje kochankowie do końca życia swego pozostali”.

## OPOWIEŚĆ ÓSMA. OKRUTNE ŁOWY

<sup>119</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

*Nastagio degli Onesti miłuje dziewczkę z rodu Traversari. Traci na nią bogactwa swoje, aliści jej wzajemności dobić się nie może. Na prośby krewniaków udaje się do Chiassi i tam spostrzega rycerza, który ściga młodkę, a potem zabija ją i na pożarcie psom rzuca. Nastagio sprasza krewniaków, aby wraz z umiłowaną przez niego dziewczką na obiad do Chiassi przybyli. Dziewczka, widząc rozszarpanie tejże młodki, poczyna się obawiać podobnej kary i wychodzi za mąż za Nastagia.*

Skoro Lauretta zamilkła, na wezwanie królowej Filomena w te słowa zaczęła:

— Piękne damy! Ponieważ Bóg miłosiernymi nam być przykazał, tedy Jego sprawiedliwość wszelkie okrucieństwa surowo karać musi. Aby wam dać dowód tego i sklonić was do wystrzegania się nieczułości serca, chcę opowiedzieć historię, która powinna nie mniej zabawić, jak i współczucie w was obudzić.

„W Rawennie, odwiecznym mieście Romanii, żyło ongiś wielu ludzi szlachetnych i zacnego rodu. Między nimi wyróżniał się szczególnie niejaki Nastagio degli Onesti, człek młody, który po śmierci ojca i wuja swego stał się wielkim bogaczem. Ow, w bezżennym stanie żyjąc, zakochał się w córce pana Paola Traversari. Żywił nadzieję, że pozyska jej względy staraniami swoimi, mimo że ród jej był o wiele starszy i świetniejszy od jego rodu. Jednakże cała jego wytrwałość, miłość i wspaniałość na nic się nie zdały; owszem, zdawało się, że im więcej przypodobać jej się stara, tym bardziej sobie szkodzi — tak szorstką, nieżyczliwą i niechętną okazywała się dla niego umiłowana dziewczka. Nie wiedzieć, co było tego przyczyną: czyli zbytne rozumienie o piękności swojej, czyli też rodowa pycha niezmierna, dosyć na tym, że ani Nastagia, ani najmniejszej rzeczy jemu milej znosić nie mogła. Ta nieczułość kochanki tak Nastagia trapiła, że nieraz skarżył się i chciał już z boleści życie sobie odjąć. Czasami zasię obiecywał sobie, że zapomni całkiem tę okrutnicę albo przynajmniej tak ją znienawidzi, jak ona jego nienawidziła. Jednak wszystkie jego postanowienia na niczym spetzły, bowiem im bardziej ginęła szczęścia nadzieja, tym miłość jego gorętszą się stawała.

Gdy Nastagio tak uparcie trwał w afektach swoich i brnął coraz dalej w obłądliwe szaleństwa i nadmierne wydatki, krewniacy jego i przyjaciele do tej myśli przyszli, że w grze takiej wnet życie i majątek cały postrada. Radzili mu więc po wielekroć i zaklinali go, ażeby Rawennę opuścił i do innego jakiegoś grodu na dłuższy pobyt się udał; mniemali bowiem, że tym sposobem z miłości go wyleczą i od ruiny uchronią. Nastagio w śmiech to po wiele razy obracał, na koniec widząc jednak, że niepodobna wiecznie trwać przy swoim, oświadczył wreszcie, że ma zamiar do Francji, Hiszpanii albo do jakiegoś innego oddalonego kraju wyjechać, i w samej rzeczy niemałe przygotowania do drogi uczynił. Po czym wsiadł na konia i w towarzystwie licznych przyjaciół swoich Rawennę opuścił. Aliści dojechał tylko do Chiassi, miejscowości o trzy mile od miasta oddalonej; tam zatrzymawszy się, kazał rozbić obozowe namioty dla siebie, a potem rzekł towarzyszom, że mogą wracać do Rawenny, bowiem on tu pozostać postanowił.

Rozłożywszy się w Chiassi, ją<sup>121</sup> prowadzić równie świetny i okazały żywot, jak pierwiej i jak zwykle znajomych swoich na obiad lub wieczerzę do siebie zapraszał. Pewnego dnia, a był to właśnie piątek, gdy piękna pogoda majowa panowała, Nastagio znów w myśli o okrutnej kochance się pogrążył. Ażeby tym swobodniej smutkowi swemu się oddać, oddalił od siebie wszystkich towarzyszków swoich i sam, bez celu błędząc, doszedł do piniowego lasu. Już dawno przeszła południowa godzina; Nastagio bez myśli o jadłe i napoju już na pół mili prawie w gęstwinę się zagłębił, gdy nagle płacz i rozpaczliwe jęki kobiece, gdzieś w bliskości brzmiające, z rozmyślań pełnych melankolii go wyrwały. Stanął, podniósł głowę, by zobaczyć, co się dzieje, i zadziwił się, widząc, że jest pośród piniowego lasu. Wtem ujrzał, jak z cierniowych zarośli, sterczących przed nim, wypadła cudownie piękna naga dziewczyna, z rozwianymi włosami i z ciałem przez gałęzie i kolce poszarpanym, pędząc ku niemu bez tchu prawie wśród głośnego płaczu i wołania o litość. Po obu jej bokach gnały nieodstępne dwa rozjadłe kundły, co chwila zatapiając w jej ciele kły, gdzie tylko schwycić mogły, za nią zasię gnał rycerz na czarnym koniu i w czarnym rynsztunku, z twarzą palającą gniewem, ze szpadą w ręku, i straszliwymi, hańbiącymi słowy śmierć jej zapowiadał. Na ten widok Nastagia w pierwszej chwili przejęły podzi-

<sup>121</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

wienie i trwoga, wnet jednak współczucie wzbudziło w nim żądę ocalenia nieszczęśliwej niewiasty od mąk takich i śmierci. Nie mając broni pod ręką, schwycił potężną gałąź i nią drogę psom i rycerzowi zagroził. Czarny rycerz, spostrzegłszy to, z daleka już na niego zawołał:

— Zaniechaj walki, Nastagio, i pozwól mnie i psom moim uczynić z tą niewiastą to, na co zasłużyła!

Przy tych słowach dwa kundle schwyciły z całej siły dziewczynę za biodra i osadziły ją na miejscu; rycerz zaś przypędził na koniu i skoczył z niego, podnosząc szpadę. Nim jednak mógł coś uczynić, Nastagio stanął przed nim i zawołał:

— Nie wiem, ktoś jest, choć mnie tak dobrze znać się zdajesz; tyle ci jednak powiedzieć mogę, że w wysokim stopniu haniebną jest rzeczą, gdy zbrojny rycerz nagą kobietę chce mordować i psami ją szczwa niby dzikie zwierzę, dlatego też bronić jej będę z wszystkich sił moich.

— Nastagio — odrzekł na to rycerz — pochodzę z tego samego co i ty miasta. Byłem jeszcze małym dziećciem, kiedy ja, zwany Gwidonem degli Anastagi, w tej oto dziewczynie zaiste o wiele goręcej się kochał aniżeli ty teraz w pannie Traversari. Aliści<sup>122</sup> pycha jej i okrucieństwo wtrąciły mnie w taką rozpacz, że wreszcie tą szpadą, którą widział w moim ręku, nieszczęsne życie sobie odebrałem i za to na wieczyste męki skazany zostałem. Wkrótce potem umarła i ona, niezmiernie z śmierci mojej się radująca. Za okrucieństwo i za to, że cieszyła się z mąk moich, nie uważając tego nigdy za grzech, ale za zasługę, także na wieczne męki piekielne skazana została. Gdy do piekła przybyła, obojgu nam za karę naznaczono: jej uciekać przede mną, mnie zaś, którym ją niegdyś tak gorąco miłował, za nią się uganiać, nie jako za przedmiotem miłości, ale jak za śmiertelną nieprzyjaciółką swoją. Ilekroć ją dopędzę, przeszywam ją tą samą szpadą, którą się niegdyś zabiłem, otwieram, jak to zaraz obaczysz, jej pierś, wyrrywam z niej twarde i zimne serce, do którego miłość ani litość przystępu znaleźć nie mogły, i rzucam je psom moim na pożarcie. Po krótkim czasie jednak zmartwychwstaje ona znowu za Boga sprawiedliwym wyrokiem i wszechmocy jego władzą, jak gdyby nigdy zabitą nie była. Wówczas zaczyna się od nowa jej żalosna ucieczka i moja z psami wściekła pogoń za nią. Tak dzieje się w każdy piątek, o tej, co dzisiaj, godzinie i na tym samym miejscu. Dopadam jej i jak wnet ujrzyś, morduję, nie sądzę jednak, że w inne dni spoczynek mamy; codziennie w tych wszystkich miejscach, gdzie jakieś okrutne myśli piastowała, prześladowuję ją i ścigam. Ponieważ zaś z najczulszego kochanka wrogiem jej się stałem, tedy<sup>123</sup> tyle lat muszę ją w ten sposób dręczyć, ile miesięcy ona się znęcała nade mną. Pozwól mi wyroku sprawiedliwości bożej dopełnić i nie próbuj sprzeciwiać się temu, czemu przeszkodzić nie jest w twojej mocy.

Na te słowa Nastagio osłupiał, a włosy ze strachu zjeżyły mu się na głowie. Odstąpiwszy kilka kroków, zwrócił oczy na nieszczęsną dziewczynę i czekał, drżący, na to, co dalej się stanie. Rycerz zaś, słowa te wyrzekłszy, skoczył na kształt rozjuszonego zwierzęcia ku dziewczynie, która przez dwa kundle trzymana, na klęczkach o litość błagała, i pchnął ją szpadą w pierś z taką siłą, że ostrze wyszło plecami. Z jękiem śmiertelnym zwała się nieszczęśnica od ciosu tego twarzą na ziemię, a wówczas rycerz chwycił sztylet, bok jej nim otworzył, wyrwał serce z innymi wnętrznościami i cisnął psom, które je z żarliwością połknęły. Ledwo kilka chwil upłynęło, dziewczyna podniosła się, jak gdyby nic się nie stało, i jęła<sup>124</sup> uciekać na nowo w kierunku morza; obok niej, jak pierwiej, gnały psy nie przestając jej szarpać. Rycerz, dosiadłszy z powrotem czarnego swego rumaka, ze szpadą w rękę szalonym pędem za nią podążył. Wkrótce tak się oddalili, że Nastagio stracił ich z oczu.

Nastagio, obaczywszy to wszystko, stał nieruchomo na miejscu, miotany litością i trwogą. Naraz jednak uderzyła go myśl, że to zdarzenie, powtarzając się co piątek, może mu się stać pomocne wielce. Oznaczył więc sobie dokładnie miejsce, a po powrocie do swych towarzyszy w Chiassi, gdy czas nadszedł, posłał po wielu krewnych swoich i przyjaciół do Rawenny.

Duch, Upiór, Kara, Miłość niespełniona, Nienawiść, Kobieta, Mężczyzna, Kara, Zaświaty, Okrucieństwo

<sup>122</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>jęła (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]



— Długo staraliście się to na mnie wymóc — rzekł do nich — abym miłości mojej do owej okrutnicy się wyrzekł i szalonych wydatków zaprzestał. Otóż obecnie jestem gotów to uczynić, pod warunkiem jednakowoż, że pana Paola Traversari k'temu<sup>125</sup> skłonicie, aby w towarzystwie żony, córki i wszystkich krewnych wraz z wami i damami, jakie wybrać zechcecie, w najbliższy piątek obiad tutaj u mnie spożyć zechcieli. Dlaczego zaś domagam się tego, wtedy się dowiecie.

Krewni i przyjaciele postanowili spełnić tę skromną prośbę Nastagia, powróciwszy tedy do Rawenny, we właściwym czasie wskazane im osoby zaprosili. Najtrudniej poszło z ukochaną przez Nastagia dziewczką, ale i ta wreszcie zgodziła się wziąć udział w uczcie pospołu z innymi. Nastagio z rozrzutnością królewską obiad przygotować kazał, stoły rozstawiono pod piniami wokół miejsca, gdzie nieczuła dziewica tak okrutnej karze podlegała. Po czym, wskazawszy wszystkim gościom ich miejsca, dla umiłowanej swojej takie miejsce przeznaczył, aby siedziała naprzeciw polany, gdzie jak sądził, przerażające zjawy się ukażą. Już ostatnią potrawę podano, gdy naraz krzyk ściganej dziewczicy do uszu wszystkich dobiegł. Obecni zadrżeli na ten głos przeraźliwy i jęli się pytać, skąd on pochodzić może; aliści<sup>126</sup> nikt wyjaśnienia dać nie mógł. Wszyscy strwożeni podnieśli się i wyteżyli wzrok w stronę, skąd odgłos ten dobiegał. Nagle ujrzeli dziewczynę, rycerza i psy. Za chwilę pościg był już między nimi. Na ten widok z okrzykami oburzenia i gniewu jedni rzucili się naprzeciw rycerza i psów, a drudzy chcieli zasłonić sobą dziewczynę. Aliści rycerz obrócił się do nich z podobną mową co pierwiej do Nastagia. Słowa jego nie tylko odjęły przytomnym<sup>127</sup> chęć do obrony dziewczęcia, lecz przejęły ich zarazem osłupieniem i przerażeniem. Rycerz czynił to samo co przed tygodniem. Pośród gości znajdowało się wiele dam spokrewnionych z nieszczęsną dziewczyną, a także i z rycerzem. Niejedna pamiętała dobrze śmierć jego; widząc, że wykonywa straszliwy wyrok na dziewczęce, uderzyły w płacz tak ogromny, jakby wyrok ów nad nimi samymi miał być dopełniony.

Gdy wszystko dobiegło końca i zjawy znikły wreszcie sprzed oczu przytomnych, nikt otrząsnąć się z wrażenia nie mógł. Długo o tym mówili. Największa jednak trwoga odmalowała się na twarzy ukochanej przez Nastagia panny, która wszystko dokładnie widziała i słyszała. Wspomniawszy bowiem na okrucieństwa, jakich się tylekroć względem tego młodzieńca dopuszczała, poczuła, że widowisko, którego przed chwilą naocznym świadkiem była, dla nikogo z obecnych straszniejszą nie jest przestrogą, jak dla niej; zdało się jej, że Nastagio gna już za nią przez lasy i że dwa spienione kundle kły w jej ciele zatapiają. Na tę myśl taka obawa ją zdjęła przed podobnym losem, że nagle nienawiść na miłość w jej sercu się przemieniła i chwili stosownej doczekać się nie mogła. Jeszcze tego wieczora przy zdarzonej sposobności tajemnie do Nastagia zaufaną służkę wysłała. Służka ta poprosiła go w imieniu pani o odwiedzenie jej i oświadczyła, że pani gotowa jest spełnić wszystko, czego Nastagio zapragnie. Nastagio odparł na to, że wieść ta przejmuje go radością niewysłowioną, aliści chce cel pragnień swoich osiągnąć czci jej na szwank nie przywołując, lecz za prawą biorąc ją małżonkę. Młoda dama, świadoma dobrze, że od niej tylko zależało być już dawno żoną Nastagia, przychylną dała mu odpowiedź, za czym udała się do swoich rodziców i pierwsza oświadczyła im chęć wyjścia za niego. Rodzice, niezmiernie tym uradowani, następniej zaraz niedzieli odbyli uroczyste zaręczyny młodej pary. Po okazałym weselu, które wkrótce nastąpiło, młodzi małżonkowie przez długie lata szczęściem swoim się cieszyli. Straszna zjawia nie tylko ten jeden szczęśliwy skutek wywarła, wszystkie bowiem białogłowy w Rawennie tak się zastrachały, że od tego czasu bardziej uległymi wobec mężczyzn się stały”.

## OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA. SOKÓŁ

*Federigo degli Alberighi miłuje bez wzajemności; po stracie całego mienia pozostaje mu jedynie sokół, którego, nic innego nie mając, poświęca na potrawę dla umiłowanej białogłowy, gdy ta doń w gościnę przybywa. Uznawszy o tym dama zmienia postępowanie, wychodzi za niego za*

<sup>125</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

*mąż i bogatym człowiekiem go czyni.*

Gdy Filomena skończyła opowieść swoją, królowa, widząc, że krom<sup>128</sup> Dionea, który miał osobny przywilej, ona tylko nie opowiadała jeszcze, z wesołą twarzą w te słowa zaczęła:

— Na mnie tedy<sup>129</sup> kolej przychodzi i dlatego też chcę wywiązać się z mojego obowiązku powieścią, która wiele z poprzednią ma podobieństwa. Dowiedcie się z niej nie tylko o tym, jaką władzę wdzięki wasze nad szlachetnymi sercami sprawują, ale także nauczycie się nagrody stosownej z własnej woli udzielać, nie czekając na los, który dary swoje nieraz w dziwny i niesprawiedliwy sposób rozdziela.

Wiedźcie tedy, że niedawnymi czasy w mieście naszym Coppo di Borghese Domenichi u wszystkich osobną czcią się cieszył, a może jeszcze się cieszy, więcej dla cnót i szlachetnych obyczajów niżli dla starożytności rodu swego. Ów zacny człek, niezamięnionnej pamięci gozdzien, do lat sędziwych przyszedłszy lubił opowiadać sąsiadom i znajomym swoim o dawnych czasach i zdarzeniach. Umiał zaś mówić tak udatnie, językiem ozdobnym, i wspomnień miał tyle, że pod tym względem nikt z nim w paragon<sup>130</sup> wchodzić nie mógł.

„Wśród innych pięknych gadek powracał do opowieści o młodym szlachcicu, zwanym Federigo degli Alberighi, synu imć Filipa, który niegdyś żył we Florencji. Według jego słów, Federigo swoją rycerską biegłością i polerowanymi obyczajami przed wszystkimi młodzieńcami we Florencji wziął przodek. Zakochał się on w pewnej szlachetnej damie, imieniem Monna Giovanna, uchodzącej podówczas za najpiękniejszą może we Florencji białogłową. Dla pozyskania jej względów na turniejach na najzuchwalsze hazardy<sup>131</sup> się ważył, wyprawiał wspaniale uczy i podarunki czynił mnogie, na stan majątku swego wcale nie bacząc.

Aliści dama, równie uczciwa, jak piękna, nie dbała ani o niego, ani o to, co na jej cześć urządził. Federigo siłą<sup>132</sup> pieniędzy ponad możność swą zmarnotrawiwszy, a nic nie zyskawszy, jak to łatwo się dzieje, popadł wkrótce w taką biedę, że z całej majątności nic mu nie pozostało krom<sup>133</sup> małej posiadłości, z której nędzny profit czerpał, i jednego wspaniałego sokoła. Miłość jego przez tę biedę wcale się nie zmniejszyła, owszem, gorętszą jeszcze się stała; a ponieważ nie mógł w mieście już dłużej żyć tak okazale, jak by był tego pragnął, przeniósł się do owej posiadłości i tam, niczyjej pomocy nie prosząc, zajmował się polowaniem z sokolem i cierpliwie ubóstwo swoje znosił. Pod ten czas właśnie zdarzyło się, że małżonek Monny Giovanni ciężko zachorował. Czując się bliskim śmierci, spisał testament, mocą którego podrastającego synaczka swego zrobił dziedzicem wszystkich wielkich swoich bogactw; na przypadek bezpotomnej śmierci syna, Monna Giovanna, jako umiłowana żona, wszystko dziedziczyć miała. Po czym zmarł.

Po jego śmierci wdowa, jak to u naszych niewiast jest w obyczaju, udała się pospołu z synkiem na całe lato do jednej z posiadłości swoich, położonej blisko siedziby Federiga. Zdarzyło się, że synek jej, który niezmiernie ptaki i psy lubił, wnet z Federigiem się przyjaźnił. Widując często jego sokoła, tak niezmiernie sobie w nim upodobał, że jedynie żądzą posiadania go pałał; nie śmiał jednak Fedeliga o niego prosić, wiedząc, jaką wartość doń przywiązuje. Po pewnym czasie chłopiec zachorował. Monna Giovanna, kochająca z całej duszy swego jedynaka, niewymownie chorobą jego się strapiła; po całych dniach nie odstępowała go, dodawała mu otuchy i prosiła ustawicznie, ażeby jej powiedział, czy czego przypadkiem nie pragnie, bowiem w tym razie uczyniłaby wszystko, aby go tylko ukontentować. Wielekroć już go o to pytała. Wreszcie pewnego dnia chłopiec odrzekł:

— Matko, jeżeli zdołasz uzyskać dla mnie sokoła od Federiga, to wierzę, że wnet przyjdę do zdrowia.

Dama, usłyszawszy tę prośbę, przez długi czas rozważała w milczeniu, co ma uczynić. Wiedziała dobrze, że Federigo, miłując ją od dawna, nigdy jednego łaskawszego spojrzenia

<sup>128</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>w paragon wchodzić (daw.) — iść w zawody; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>hazard a. azard — tu daw.: ryzyko, niebezpieczeństwo. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

od niej nie otrzymał. Rzekła więc do siebie. »Jakże mogłabym się ośmielić posłać po tego sokoła do Federiga lub udać się do niego sama? Zresztą, jak słyszę, nigdy szlachetniejszy od tego sokoła ptak myśliwemu nie służył. Nadto, jak powiadają, sokół ów środek utrzymania dla swego pana stanowi. Nie mam, wierę<sup>134</sup>, sumienia odejmować szlachcicowi ostatniej jego radości«.

Tak rozważając, jakkolwiek pewna otrzymania natychmiast sokoła, skoroby tylko o niego poprosiła, nie wiedząc, co rzec, nie odpowiedziała nic synowi.

W końcu jednak miłość dziecka zwyciężyła wszystkie jej skrupuły. Monna Giovanna postanowiła, mimo wszystko, udać się sama do Federiga, aby o sokoła go poprosić.

Rzekła więc do chorego:

— Pociesz się, mój synaczku, i staraj się do zdrowia powrócić, a ja ci przyrzekam, że pójde jutro zaraz z rana i będziesz miał tego sokoła.

Dziecię tak się tymi słowami uradowało, że tegoż jeszcze dnia znaczną ulgę poczuło. Na drugi dzień rano udała się Monna Giovanna w towarzystwie drugiej damy do małego domku Federiga i zapytała o niego. Ponieważ nie był to czas łowów na ptaki, więc szlachcic znajdował się w ogrodzie, zajęty jakąś robotą. Federigo, uwiadomiony, kto o niego pyta u bramy, zadziwił się w najwyższym stopniu i z radością wybiegł naprzeciwko niej. Ona zasię widząc, że się zbliża, uprzejmie uklon mu oddawszy, powstała z kobiecym wdziękiem i zwróciła się do niego:

— Dzień dobry, Federigo! Przychodzę tutaj, ażeby wynagrodzić cię za wszystko, coś z mojej winy wycierpiał. Miłowałeś mnie bowiem goręcej, aniżeli dla dobra twego należało. Nagroda na tym się zasadza, że chcę, abys mnie wraz z tą damą dziś po przyjacielsku obiadem ugościł.

— Madonno — odparł na to Federigo z pokorą — nie wiem, o jakich przykrościach, których wy kiedykolwiek przyczyną być mieliście, mówicie. Tyle wiem jeno<sup>135</sup>, że dobra niemało od was wzięłem, i jeżeli cokolwiek wart kiedy byłem, to jedynie przymiotom waszym i miłości dla was to zawdzięczam. Dzisiejsze łaskawe odwiedziny wasze miłsze mi są od wszystkich straconych dostatków. Przybyliście wszak w gościnę do nędzarza.

Tak mówiąc oprowadzał ją bojaźliwie po domku i ogrodzie. Nie mając jednak nikogo pod ręką, kto by mógł damy zabawiać, rzekł:

— Ponieważ nikogo innego tu nie ma, tedy<sup>136</sup> niechaj ta poczciwa kobieta, żona człowieka obrabiającego moje pole, towarzystwa wam dotrzyma, dopokąd ja obiadu nie przysposobię.

To rzekłszy odszedł. Dotychczas, jakkolwiek wielkim był jego niedostatek, nie zauważył, ilu najniezbędniejszych rzeczy rozrzutność go pozbawiła. Teraz jednak, gdy przyszło zanie ugościć tę damę, dla miłości której niegdyś niezliczonych spraszał biesiadników, spostrzegł po raz pierwszy nędzę swoją. Srodze strapiony, ze ściśniętym sercem biegł po domu jak szalony i przeklinał los swój, nie mogąc znaleźć pieniędzy ani jakiej rzeczy, którą by w zastaw dać można było. Tymczasem zbliżyła się obiadowa godzina. Federigo, mimo gorącej chęci ugoszczenia damy, nie mógł nic w domu znaleźć, prosić zasię nikogo nie chciał, nawet pracującego u niego wieśniaka. Naraz wpadł mu w oczy dzielny sokół jego, siedzący w jadalnej komnacie na drążku; Federigo schwycił go, a widząc, że ptak jest tłusty, uznał to szlachetne stworzenie za potrawę godną damy. Nie namyślając się tedy długo, ukreślił mu łeb i rozkazał służebnej dziewczynie czym prędzej oskubać go, przyrządzić, na rożen nasadzić i troskliwie upiec. Po czym zasłał stół śnieżystym obrusem, który mu się jeszcze zachował, i poszedł z wesołym obliczem zaprosić damę do obiadu, na jaki go stać. Dama z towarzyszką swoją przeszły z ogrodu do jadalni i obsługiwane starannie przez Federiga, zjadły wraz z nim dzielnego sokoła, nie wiedząc nawet, jaka to potrawa. Po wstaniu od stołu i po uprzejmej pogawędce, dama, sądząc, że nadeszła pora wyznać Federigowi, po co właściwie tu przybyła, zwróciła się doń uprzejmie i tak rzekła:

— Federigo, jeżeli masz w pamięci dawny stan swój i moją surowość obyczajów, którą zapewne za nieczulość i okrucieństwo poczytywałeś, to nie wątpię, że osłupiesz na zuchwałą prośbę, z którą tu dzisiaj przybywam. Gdybyś miał jednak kiedykolwiek dzieci i mógł pojąć miłość, jaką się dla nich żywi, to pewna jestem, że chociaż w części dzisiejszy

<sup>134</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

krok mój byś usprawiedliwił. Ty nie masz jednakże dzieci, ja zaś jedynaka posiadam, a nie mogąc praw macierzyńskiej miłości w sercu mym przewalczyć, wbrew chęci mojej, wbrew przyzwoitości i rozsądkowi, widzę się obecnie zmuszoną prosić cię o podarowanie mi rzeczy, która ci jest droga wielce. Tym przedmiotem jest twój sokół, który nie bez racji tak znaczną wartość dla ciebie posiada. Przeciwny los tylko tę radość i pociechę ci ostawił. A jednak prosić cię oń muszę, syn mój bowiem tak niezmierną żądzą posiadania go zapłonął, iż drzę, ażeby choroba, której uległ, nie pogorszyła się lub śmiertelnego obrotu nie przybrała w wypadku, jeśli dziecię pożądanego przez siebie przedmiotu nie otrzyma. Zaklinam cię więc nie na miłość, którą dla mnie żywisz, ta cię bowiem do niczego względem mnie nie obliguje, ale na wielkoduszność, którą nad wszystkimi ludźmi górujesz, chciej mi podarować tego sokoła, a ja pamiętać zawsze będę, żeś dzięki temu darowi syna mi zachował, i wiecznej wdzięczności dla ciebie czuć nie przestanę.

Federigo, usłyszawszy żądanie damy i wiedząc, że mu zadosyćuczynić nie może, bo sokoła na potrawę dla niej już użył, począł w obecności jej gorzko płakać i ni słowa na odpowiedź znaleźć nie mógł. Na ten widok dama sądziła z początku, że łzy te wyciska mu bolesna myśl rozłączenia się z dzielnym sokolem i już powiedzieć chciała, że woli podarunku raczej nie otrzymać, wstrzymała się jednak i oczekiwała na odpowiedź Federiga, który, zapanowawszy wreszcie nad łzami swymi, tak się odezwał:

— Madonno, od kiedy się Bogu podobało, abym serce moje ku wam obrócił, nie jedną miałem sposobność doświadczenia nielaski losu i nieraz się nań żaliłem; wszystko to jednak było rzeczą krotochwilną w porównaniu z krzywdą, którą mi obecnie los wyrządził. Jakże bowiem zdołam z dołą moją kiedykolwiek się pogodzić, jeżeli pomyślę, że właśnie w tej chwili, gdyście wy, tak obojętni niegdyś dla bogactw moich, zubożały mój dom odwiedzili, ja nie byłem w możności małego, a tak pożądanego podarunku wam ofiarować! Dlaczego zaś tego uczynić nie mogę, zaraz się dowiecie. Skorom usłyszał, że chcecie w łaskawości swojej obiad u mnie spożyć, zważywszy na dostojny ród wasz i przymioty, pomyślałem, że powinienem ugościć was najdroższą potrawą, na jaką mnie stać, różną od tych, jakimi innych ludzi częstować się zwykło. Spojrzawszy na mego sokoła i zważywszy jego zalety, uznałem go za godną dla was potrawę. Kazałem go więc upiec i podać wam w przekonaniu, że tym sposobem najlepszy z niego użytek uczynię. Teraz jednak, gdy widzę, że żywego sokoła mieć byście pragnęli, boleść moja, stąd płynąca, iż waszego rozkazu spełnić nie mogę, jest tak silna, że nie wiem, zali<sup>137</sup> się kiedykolwiek w życiu uspokoję.

Rzekłszy te słowa, pokazał jej na dowód pióra, szpony i dziób zabitego sokoła.

Dama na ten widok jęła<sup>138</sup> naprzód ganić rycerza za to, że w celu ugoszczenia jej zabił tak szlachetnego sokoła, potem jednak podziwem się przejęła, zważywszy wielkość jego duszy, której sroga nędza nie zdołała dotąd osłabić ani złamać. Zbyszy się jednak wszelkiej nadziei posiadania sokoła, niespokojna o zdrowie syna, pożegnała Federiga ze smutkiem i wróciła z towarzyszką swoją do domu.

Syn Monny Giovanni (nie wiedzieć, czy wskutek strapienia z powodu nieotrzymania sokoła, czy też dlatego że choroba takie już przyrodzenie<sup>139</sup> miała, że tylko śmiercią skończyć się mogła) w kilka dni potem rozstał się z tym światem. Matka po tej stracie długie dni we łzach i smutku trawiła. Ponieważ jednak młoda była jeszcze, a krom<sup>140</sup> tego wielce bogata, tedy jej bracia naglili ją, aby wybór męża uczyniła. Monna Giovanna, mimo że najchętniej wdową byłaby została, uległa ich przedstawieniom i wspomniawszy na wspaniałomyślność i szczodrość Federiga, której dowód niedawno złożył w zdarzeniu z sokolem, odpowiedziała swoim braciom w te słowa:

— Najmilej by mi było, gdybyście mi pozwolili zostać przy wdowiej zasłonie, gdy jednak koniecznie pragniecie, bym w powtórne związki wstąpiła, to wyjdę tylko za Federiga dagli Alberighi.

Na te słowa bracia drwić sobie z niej zaczęli mówiąc:

— Co mówisz, głupia? Jakże możesz chcieć wyjść za człowieka, który nic nie posiada?

<sup>137</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

— Wiem dobrze, panowie bracia, że prawdę powiadacie, wolę jednak męża bez majątku aniżeli majątek bez męża.

Bracia, upewniwszy się o niezachwianym jej postanowieniu, a przy tym przekonawszy się, że Federigo, mimo swego ubóstwa, jest wielce czcigodnym człowiekiem, oddali mu Giovannę wraz z całą jej fortuną. On zaś, pozyskawszy szlachetną i tak przez siebie umiłowaną białogłową, a nadto wielki majątek, pełen radości lepiej odtąd gospodarząc, doszedł do kresu lat swoich”.

## OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA. ZGODNY MAŻ

*Pietro di Viniciolo udaje się na wieczerzę do przyjaciół. Żona jego zaprasza wówczas do siebie pewnego młodzieńca. Gdy Pietro do domu pouraca, dama ukrywa swego miłośnika pod kojcem. Pietro opowiada, że Ercolano, u którego bawił, znalazł w swym domu młodzieńca, ukrytego przez żonę. Żona Pietra gani surowo tamtą białogłową. Aliści na nieszczęście, osioł nastąpił na rękę młodzieńca ukrytego pod kojcem. Na krzyk Pietro wypada do sieni i poznaje widomie wiarołomstwo swojej żony, z którą jednak godzi się na koniec, jako człek nikczemny.*

Gdy królowa skończyła opowieść swoją, wszyscy wysławiać jęli sprawiedliwość Boga, który Federiga godnie wynagrodził; po czym Dioneo, nie czekając obyczajem swoim na rozkaz, zaczął w te słowa:

— Zaiste, nie wiem, zali<sup>141</sup> to jest przypadkowy niedostatek, ze skażenia obyczajów wynikły, czy też przyrodzone ludzi usposobienie, że więcej radujemy się i cieszymy z rzeczy złych niżli z czynów dobrych, zwłaszcza gdy nas to nie tyczy. Ponieważ trud mój, z którego już nieraz się wywiązywałem, jako i teraz wywiązać się zamierzam, ma jedynie na celu troski od was odpędzić i do śmiechu a radości was pobudzić, opowiem wam tedy<sup>142</sup>, najmiłsze damy, pewną historię. Chocia materia w niej się zawierająca przystojnością zbytnią się nie odznacza, przecie sposobna będzie do przysporzenia wam uciechy. Słuchając jej, możecie postąpić tak, jak zwykle postępujecie wchodząc do ogrodu, gdzie miękką ręką zrywacie róże, kolców nie dotykając. Pozbawionego czci małżonka przy jego srogiej hańbie pozostawcie, śmiećcie się z chytrych sztuczek jego żony, a gdy trzeba, litością dla nieszczęść bliźniego się przejmijcie.

„W Perugii żył przed niedawnym czasem pewien bogaty człek, nazwiskiem Pietro di Viniciolo, który bardziej może dla zamydlenia oczu ludziom i pomniejszenia zlej sławy, jakiej powszechnie u swych rodaków zażywał, niżli dla miłości żonę pojął. Na nieszczęście los obdarzył go żoną, która jego skłonnościom nieosobliwie odpowiadała. Była to bowiem krzepka rudowłosa dziewczucha, o krwi nader gorącej, której raczej dwóch mężów niż jeden by się zdało. Tymczasem dostała tylko jednego, i to mającego ochotę do całkiem innych rzeczy aniżeli małżeńskie pieśczoty. O tych jego skłonnościach aż nazbyt prędko się przekonana, widząc zasię<sup>143</sup>, że jest piękną i świeżą, czując w sobie jędrność i siłę młodości, zrazu poczęła w gniew wpadać i obrzucać męża obelżywymi słowami, w ciągłej z nim żyjąc kłótni.

Doszedłszy jednak do przekonania, że raczej sama zmarnieje, niżli niegodziwe nałogi męża swego zwycięży, rzekła do siebie: »Ten nędznik nie dba o mnie, ponieważ zachciewa mu się po suchym łądzie brodzić, muszę tedy postarać się o kogoś, co żegluję na wodzie wedle praw natury. Wzięłam go za męża i piękne wiano mu przyniosłam, sądziłam bowiem, że z mężczyzną żyć będę i że on tego pragnie, czego mężczyźni pragnąć przystoi. Gdybym była wiedziała, z kim mam do czynienia, nie poszłabym była nigdy za niego za męża! Po cóż mnie wziął za żonę, wiedząc, że kobietą jestem, jeżeli mu kobiety wstrętnymi były? Dla boga, dłużej znosić tego niepodobna! Gdybym była chciała odejść od świata, do klasztoru bym wstąpiła. Jednakże przecie żyć pragnęłam! Mamże czekać, aż ten człek rozkoszą i ukontentowaniem mnie obdarzy? Wierę<sup>144</sup>, młodość strawię i pierwszej zstarzeję się i osiwieję, nim się czegoś odeń doczekam. Wówczas za późno będzie

Mąż, Żona, Seks,  
Mężczyzna, Kobieta,  
Obyczaje

<sup>141</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

jęczeć i żałować zmarnowanego czasu. Zresztą on sam daje mi najlepszą naukę, jak się pocieszać należy, bowiem szuka rozkoszy dla siebie tam, gdzie i ja ją znaleźć mogę. Jednakże to, co dla mnie chwalebne będzie, dla niego jest sromotne i niegodziwe. Ja tylko prawo obyczajności przekroczę, podczas gdy on ludzkie, a zarazem i przyrodzone prawo przestępuje».

Rozważywszy to wszystko siła<sup>145</sup> razy, dzielna białogłowa postanowiła zaspokoić swoje żądze i w tym celu zaprzyjaźniła się z pewną starą niewiastą, która równie pobożną się wydawała jak święta Verdiana, karmicielka wężów. Starucha chodziła bowiem na każdy odpust z różańcem w ręku i o niczym innym nie mówiła, jeno<sup>146</sup> o żywotach świętych ojców Kościoła i o stygmatach świętego Franciszka. Na skutek tego samego już za świętą uchodziła. Dama, stosowną porę upatrzwszy, wyznała wszystko staruszce, ta zaś rzekła:

— Bóg, wiedzący o wszystkim, wie także dobrze, że sprawiedliwie postąpić zamierzasz! Gdybyś nawet słusznej przyczyny po temu nie miała, winnaś czynić na podobieństwo innych młodych białogłów, aby młodości swej nie marnować. Wierę, nie masz dla rozumnego człowieka większej boleści nad wspomnienie straconego na próżno czasu. Na cóż, u kata, przydać się możemy na świecie, gdy się już zestarzejemy? Chyba do pilnowania garnków na kominie! Inna by o tym tak otwarcie mówić nie mogła lub nie chciała, aliści<sup>147</sup> ja, poznawszy teraz na starość, jak źle czasu użyłam, gdy żal mi dopieka, przestrzec innych za obowiązek swój poczytuję. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, że całkiem młodość moją zmarnowałam, nie chcę bowiem, ażebyś sądziła, że wielce głupią ongiś byłam, po prawdzie jednak o wiele lepiej mogłam z niej skorzystać, aniżeli to uczyniła. Gdy spojrzę dzisiaj na siebie, na mój nędzny pozór<sup>148</sup>, który już żadnego mężczyzny nie skusi, by ogień przyłożył do mej hubki, a do tego wspomnę, ilem sposobności w życiu straciła, to sam Bóg wie najlepiej, jak srogi żal odczuwam. Z mężczyznami ma się rzecz inaczej. Od urodzenia już sposobni są do tysiąca rozmaitych rzeczy, nie tylko do tej jednej, i najczęściej starzy są więcej warci od młodych. Natomiast my, kobiety, rodzimy się jedynie po to, ażeby rzecz oną czynić i dzieci na świat wydawać. Dla tego tylko powodu znaczymy coś u ludzi, o czym choćby z tego jawnie przekonać się możesz, że kobiety w każdej chwili do zadania swego są gotowe, podczas gdy z mężczyznami całkiem inaczej się dzieje. Co więcej, jedna białogłowa może wielu mężczyzn sił pozbawić, aliści wielu mężczyzn nie zdoła zmęczyć jednej kobiety. Widzisz tedy<sup>149</sup>, żeśmy się po to urodziły. Powtarzam ci raz jeszcze, że bardzo słusznie uczynisz, jeżeli tą samą miarką mężowi swemu odmierzysz. Wówczas pod starość dusza twoja nie będzie miała nic do wyrzucenia ciała. Z świata tego każdy ma tyle, ile sam sobie weźmie. Ta prawda odnosi się szczególnie do nas, kobiet, ile że my musimy ze sposobności nadarżającej się o wiele pilniej korzystać aniżeli mężczyźni. Rozważ bowiem sama tylko, jak się to na świecie dzieje. Gdy się zestarzejemy, ani mąż, ani ktokolwiek inny widoku naszego znieść już nie może. Pędzą nas do kuchni i każą nam kotłów pilnować albo garnki i łyżki liczyć. Ba! co okropniejsza, przedmiotem pośmiewiska się stajemy! Wokół nas słychać tylko: »młodej dukata, a starej lopata«, i tym podobne śpiewki i żarty. Na cóż jednak tyle słów truć? Dostyc na tym, jeżeli ci powiem, że nie mogłaś nikomu lepszemu ode mnie się zwierzyć i że nikt ci lepiej jak ja dopomóc nie zdoła, nie masz bowiem takiego franta, któremu bym nie odważyła się wszystkiego powiedzieć, co trza, ani tak nieokrzesanego gbura, ażebym go nie ugłaskała i woli mojej nie poddała. Powiedz mi więc tylko, kogo chcesz mieć, a resztę mnie już pozostaw. O jedno tylko muszę cię prosić, moja córko, nie zapomnij o tym, że jestem biedną kobietą. Za tę pamięć od dzisiaj będziesz miała udział w każdym otrzymanym przeze mnie odpuście i w każdym ojczenaszu, który odmówię, a dobry Bóg przyjmie tę cząstkę twoją zamiast lamp i świec i policzy duszom zmarłych twoich krewnych na rachunek zbawienia.

Tymi słowy zacna starucha zamknęła swoją mowę. Młoda białogłowa zawarła z nią umowę, aby gdy obaczy pewnego młodzieńca, przechodzącego często tą ulicą (wygląd jego szczegółowie<sup>150</sup> starusze określiła), natychmiast wedle mniemania swego postąpiła.

Kobieta, Starość, Młodość,  
Ciało, Seks, Rozkosz,  
Modlitwa

<sup>145</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>pozór (daw.) — wygląd. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

Po czym, obdarowawszy staruchę kawałem solonego mięsiwa, odesłała ją z Bogiem.

Zaledwie kilka dni od tej chwili minęło, gdy starucha wskazanego młodzieńca sekretnie wprowadziła do jej komnaty, po nim zasię wnet drugiego, w miarę jak młodej białogłowie do gustu przypadali. Mimo strachu przed mężem, z żadnej podobnej sposobności skorzystać nie omieszkała. Pewnego dnia zdarzyło się, że gdy mąż jej do jednego z przyjaciół swoich, nazwiskiem Ercolano, na wieczerzę się udał, białogłowa nasza poleciła dobrej staruszce, ażeby ta przywiodła jej młodzieńca należącego do najurodziwszych w całej Perugii. Stało się wedle jej żądania. Zaledwie jednak z dzielnym młodzieńcem do stołu zasiadła, aby z nim wieczerzę spożyć, gdy Pietro do drzwi domu kołatać i nawoływać począł. Żona, poznawszy jego głos, poleciła duszę swą Bogu; nie tracąc jednak przytomności, obejrzała się, gdzie by miłośnika ukryć. Po wahaniach, co począć, nie mogąc znaleźć lepszej kryjówki, schowała go pod kojec stojący w sieni, przylegającej do jadalnej komnaty. Gdy się już ukrył, rzuciła na kojec siennik, który właśnie dnia tego opróżniła, i co żywiej pobiegła, aby drzwi swojemu małżonkowi otworzyć.

— No! — zawołała, otwierając mu drzwi — diabło prędko przełknęliście tę wieczerzę!

— Nie spróbowaliśmy jej nawet — odparł Pietro.

— A to dlaczego? — spytała żona.

— Zaraz ci opowiem — rzekł Pietro. — Otóż, Ercolano, jego żona i ja siedzieliśmy już przy stole, gdy usłyszeliśmy nagle, że ktoś w pobliżu nas kichnął. Za pierwszym i drugim razem ledwośmy na to uwagę zwrócili, gdy jednak ów niewidzialny nos trzeci, czwarty raz, a potem nie wiedzieć, ile razy jeszcze kichnął, mocnośmy się wszyscy zadziwili. Ercolano i tak już gniewny na żonę, że kazała nam długo przed drzwiami czekać, nie otwierając ich, teraz jeszcze bardziej się rozsierdził i zawołał: »Co to ma znaczyć? Kto tutaj tak kicha?«.

Rzekłszy to i skoczywszy ze swego miejsca, pobiegł ku schodom, znajdującym się tuż koło komnaty. Pod tymi schodami była komórka z desek, przeznaczona, jak zwykle, na skład podręcznych rzeczy. Zdało mu się, że kichania w tej komórce się rozlegały. Zaledwo Ercolano drzwiczki otworzył, natychmiast wydobył się na zewnątrz nieznośny dym z siarki. Już przedtem, poczuwszy tę przykrą woń siarki, pytaliśmy o jej przyczynę, na co gospodyni nam odparła, że zasłony swoje bielila siarką, a później wystawiła pod schody kociołek, nad którym były rozwieszzone, miały bowiem przejść dymem. Dlatego woń jeszcze stamtąd przenika. Jednakże, gdy Ercolano, poczekawszy nieco na rozejście się dymu, do komórki zajrzał, spostrzegł tam właściciela kichającego nosa, który dymem siarczanym gryziony, wciąż jeszcze kichał. Zaduch i dym w komórce tak go odurzyły, iż chwiał się na nogach. Gdybyśmy przyszli o kilka chwil później, niewątpliwie byłby duszę wykichał. Ercolano na ten widok zawołał: »Rozumiem teraz, wiarołomna niewiasto, dlaczego za przybyciem naszym tak długo nas przede drzwiami trzymałaś! Bodajbym już nigdy radości nie zaznał, jeżeli ci hojnie za to nie zapłacę!«.

Na te słowa żona jego, nie wyrzekłszy nic na usprawiedliwienie swoje, widząc, jak oczywistą jest jej wina, uciekła od stołu i nie wiem, co się z nią potem stało. Ercolano zasię, nie zwróciwszy na jej ucieczkę uwagi, wezwał po raz drugi kichającego człeka do wyjścia. Aliści ten był w takim stanie, że cokolwiek by mówić do niego, ruszyć się nie mógł. Wówczas Ercolano pochwyił go za nogę, wyciągnął z komórki i pobiegł po sztylet, ażeby go zamordować. Ja jednakże, obawiając się, aby mnie o współwinę nie posądzono, stanąłem między nimi i nie dozwoliłem, aby Ercolano go zamordował albo coś złego mu uczynił. Owszem, bronilem na pół żywego kochanka jego żony i krzychałem tak głośno, że wreszcie zbiegli się sąsiedzi i zabrali ze sobą, nie wiem dokąd, młodzieńca, który się miał już za zgubionego. Takie oto zdarzenie przerwało naszą wieczerzę i sprawiło, że nie tylko nie pożywił, ale jak ci to już powiedziałem, nawet nie skosztowałem niczego.

Białogłowa nasza, usłyszawszy opowieść swojego męża, poznała, że inne kobiety nie mniej od niej sprytu mają, że jednak nieszczęścia tu i owdzie czasami przytrafiać się mogą, toteż chociaż miała ochotę gorąco bronić żony Ercolana, pragnąc jednak przez zgromienie cudzego błędu podejrzenie od siebie lepiej oddalić, tak się odezwała:

— A to piękna historia! Kto by się był po tej świętoszce czegoś podobnego spodziewał? I jakże tu teraz pozorom uczciwości wierzyć? Wierę, spowiadać bym się do niej poszła, tak bardzo duchowną osobą się zdawała. Co gorsza, jest już dziś stara i piękny przykład daje młodym! Niechże przekłeta będzie godzina, w której na świat przyszła! Przekłeta niechaj będzie ona sama, że ciągle jeszcze żyje, przewrotna i ohydna niewiasta, wstydem i hańbą

okrywająca wszystkie białogłowy tego miasta! Podeptała nogami uczciwość i obyczajność, a także cześć swoją i męża swego, złamała wiarę zaprzysiężoną małżonkowi, godnemu obywatelowi, który się z nią tak dobrze obchodził! O nikczemna! Nie wahała się dla jednego hultaja siebie samej i małżonka swego osławić. Niech mnie Bóg broni, abym dla podobnych kobiet kiedykolwiek litość odczuwała. Żywcem by w ogień należało je wrzucić i patrzeć spokojnie, jak się na popiół zmieniają.

Rzekłszy te słowa, wspomniała o swoim kochanku, pod kojcem w pobliżu ukrytym, i dlatego poczęła namawiać Pietra, ażeby poszedł spać, bowiem pora już późna była. Aliści Pietro miał więcej chęci do jedzenia niżli do spania, dlatego też zapytał jej, czy nie ma czego na wieczerzę.

— Na wieczerzę? — zawołała na to żona. — Cóż ci do głowy przychodzi? Tak jakbyś nie wiedział, że nie mam zwyczaju wieczerzy gotować, kiedy ciebie w domu nie ma. Nie jestem przecież żoną Ercolana! Idź już, idź i staraj się jak najprędzej zasnąć, aby o głodzie zapomnieć.

Traf zdarzył, że właśnie tego wieczora przybyło ze wsi kilku parobków Pietra z zapasami żywności. Postawili oni osły, nie napoiwszy ich uprzednio, w stajence, znajdującej się tuż obok sieni. Jeden osioł, niezmiernie pragnienie czując, odwiązał się od żłobu, znalazł drogę ze stajni do sieni i wszedłszy do niej, węszyć zaczął dokoła, czy gdzie wody przypadkiem nie ma. Tak wałęsając się potrafił o kojec, pod którym młodzieniec przycupnął na czworakach w ten sposób, że palce jednej ręki miał nieco na zewnątrz wysunięte. Na jego szczęście czy też nieszczęście, jak sami osądzicie potem, węszący osioł nadeptał mu na palce i taką przez to boleść sprawił, że nasz młodzieniec, na nic niepomny, wrzasnął z całej siły. Pietro na ten wrzask niespodziany zadziwił się niepomału<sup>151</sup> i podejrzenie powziął, że z wnętrza domu dobywać on się musi. Gdy zaś jęczenie nie ustawało (osioł bowiem nie ustąpił, ale gniótł coraz mocniej kopytem rękę nieszczęśliwego miłośnika), Pietro z okrzykiem: »Kto tam?«, do kojca przystąpił i podniósł go w górę. Na jego widok młodzieniec z bólu i trwogi zdrzął całym ciałem. Nie tylko dolegały mu palce, ale lękał się, by Pietro nie uczynił mu czegoś złego. Aliści Pietro, wpatrzywszy się w niego i poznawszy w nim jednego z młodzieńców, za którym, niegodziwym skłonnościami swoim hołdując, przez długi czas się uganiał, spytał z wielkim spokojem:

— Co tutaj robisz?

Młodzieniec nic nie odpowiedział na to, błagając tylko w imię miłości Boga, aby mu krzywdy nie czynił.

— Wstań — rzekł Pietro — i nie obawiaj się niczego, powiedz mi jeno<sup>152</sup>, jak i po co tutaj wszedłeś?

Młodzieniec przyznał się do wszystkiego. Pietro zdawał się tylko cieszyć ze znalezienia go o tyle, o ile żona jego tym się martwiła. Wziął go za rękę, wprowadził do komnaty, gdzie żona z największą trwogą go oczekiwała, usiadł naprzeciw niej i rzekł:

— Przed niedawnym czasem przeklinałaś żonę Ercolana, uważając, że należałoby ją spalić, jako zakałą niewieściego pogłowia. Przeczże<sup>153</sup> tego także i o sobie nie powiedziałaś? Jeśli zaś nie chciałaś mówić o sobie, jak mogłaś się odważyć przeklinać inną kobietę, wiedząc, że podobnie jak ona postępujesz? Wierę, tym tylko sobie wytłumaczyć wszystko można, że wszystkie jednak niegodziwe jesteście i że każda swój własny błąd cudzym zasłonić by pragnęła. Bodajby tedy<sup>154</sup> ogień spadł z nieba i pochłonął was wszystkie, o haniebne i niegodziwe plemię!

Żona Pietra, widząc, że pierwszy zapęd jego gniewu w słowach dostateczny upust swój znalazł i że mąż jej zdaje się nie posiadać się z radości, mając w swym ręku tak urodziwego młodzieńca, zdobyła się na odwagę i rzekła:

— Zaprawdę, wierzę, że pragnąłbyś, aby nas wszystkie ogień niebieski pochłonął, wiem bowiem dobrze, że tak pogłowie nasze kochasz jak psy kij. Aliści, na święty krzyż Pański, i ja nie zmilczę! Jeśli się mamy wreszcie porachować, to chciałabym wiedzieć, jakie to masz prawo do skarżenia się na mnie? Porównywasz mnie z żoną Ercolana, z tą starą obłudnicą! Mąż nie zaniedbuje jej w niczym i obchodzi się z nią tak, jak z żoną należy

<sup>151</sup>*niepomahu* (daw.) — niemało. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*przeczże* — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]



się obchodzić. Ze mną rzecz się ma zgoła inaczej. Prawda, żem dobrze odziana i obuta, aliści<sup>155</sup> sam wiesz najlepiej, jak się ma rzecz z innymi sprawami i ile czasu minęło, jakem cię w nocy obok siebie w łożu oglądała. Ja zaś<sup>156</sup> wolałabym obdarta i bosa chodzić, a mieć za to prawdziwego mężczyznę przy sobie aniżeli posiadać to wszystko, co posiadam, a widzieć w tobie wroga płci mojej. Słuchaj tedy uważnie, Pietro, co ci powiem. Jestem kobietą jak i inne i te same mam pragnienia. Jeżeli tedy, przez ciebie zaniedbana, zaspokoić się je staram, winić mnie za to nie można. Dobrze, że tyle chociaż dbam o cześć twoją, iż nie zadaję się z hultajstwem ulicznym.

Pietro, widząc, że podobny spór całą noc mógłby się przeciągnąć, i nie czując chęci do kłótni z żoną, o którą dbał niewiele, rzekł:

— Dosyć na tym! Bądź spokojna, przyrzekam ci, że jakoś się to wszystko ułoży!... Teraz zaś najlepiej by było, gdybyś o jakiej wieczery pomyślała, zdaje mi się bowiem, że ten młodzieniec nie mniej ma apetytu ode mnie.

— W samej rzeczy — rzekła żona — nic jeszcze w ustach nie miał, bowiem właśnie kiedyśmy do stołu zasiadali, ciebie zło niespodziane przyniosło.

— Idź tedy<sup>157</sup> — rzekł Pietro — i pomyśl o naszej wieczery, a potem ja już się postaram tak całą rzecz uładzić, abyś nie miała powodu na mnie się żalić.

Żona, widząc, że mąż jest udobruchany, pośpieszyła co prędzej przygotowanymi już potrawami stół zastawić. Potem zasiadła do niego wraz z nędznym mężem swoim i z młodzieńcem. Uczta odbyła się nader wesoło.

Po wieczery Pietro dla ukontentowania wszystkich trojga wymyślił pewien sposób, o którym już zapomniałem. Tyle wiem jeno<sup>158</sup>, że nazajutrz z rana młodzieniec, wracając, aż do samego rynku nie był pewny, z kim większą część nocy spędził: z mężem czy z żoną<sup>159</sup>.

— Dlatego, miłe damy, powiadam wam na zakończenie: „Ząb za ząb, oko za oko!”, „Czyn drugiemu, co on tobie”. A jeśli nie zdołasz, miej to w myśli tak długo, aż ci się powiedzie. Gdy osioł łbem w mur tłucze, mur mu tyleż razy oddaje.

Gdy Dioneo skończył, damy, nie tyle z braku chęci do śmiechu, ile przez wstydlivość, od objawów wesołości się wstrzymały. Po czym królowa, widząc, że koniec jej rządów nadszedł, podniosła się z swego miejsca, zdjęła wieniec wawrzynowy ze skroni i włożyła go z wdziękiem na głowę Elizy, mówiąc:

— Madonno, na ciebie teraz kolej rozkazywania przychodzi.

Eliza, przyjąwszy nadaną jej godność, postąpiła na wzór swych poprzedniczek. Wydała marszałkowi rozkazy na czas swoich rządów, a potem rzekła, poklask towarzystwa zyskując:

— Już wielokrotnie o tym słyszeliśmy, jak przez ciętą odpowiedź, trafny pomysł lub przytomność umysłu wielu ukąszeń złośliwości lub grożącego niebezpieczeństwa ludziom unikać się udało. Ponieważ przypadki te za wielce pożyteczny przykład służyć mogą, chcę tedy, ażeby z boską pomocą jutrzejsze opowieści nasze zajęły się ludźmi, którzy dzięki dowcipnemu rzeczeniu, ciętej odpowiedzi lub też przez szybkie postanowienie — szkody, niebezpieczeństwa czy też cięższego strapienia uszli.

Materia ta ogólny poklask znalazła. Po czym królowa podniosła się i wszystkim swobodę aż do wieczery dała. Zaczyna kompania widząc, że królowa wstała, podniosła się również i utarty zwyczajem każdy zajął się tym, co najwięcej przyjemne mu było. Gdy koniki polne ćwierkać już przestały, zwołano wszystkich znowu i do stołu zasiedli. Przy końcu wesołej wieczery zaczęła się muzyka i śpiewy. Emilia na żądanie królowej zawiodła taniec, Dioneowi zaś śpiewać kazano.

Dioneo natychmiast zanucił: „Pani Altrudo, ogon w górę, pomyslną niosę ci nowinę!”. Wszystkie damy wybuchnęły śmiechem, osobliwie zaś<sup>159</sup> królowa. Kazano mu inną pieśń wybrać. Dioneo odparł:

<sup>155</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

— Gdybym miał cymbałki, to bym wam zaśpiewał:  
„Pani Lappo, podnieś szatki” albo: „Pod oliwką miękka trawa”, a może też tę: „Morska fala mnie kołysze, jak mi słabo, ledwo dyszę!”.

Ponieważ jednak nie mam muzycznego instrumentu, wybierajcie więc same, co wam się podoba. Może chcecie: „Tylko przyjdź, ja cię okrzyszę, jak ogrodnik drzewo w maju”.

— Nie! — zawołała królowa — zaśpiewaj coś innego!

— A więc to może — odrzekł Dioneo — „Pani Simono, w beczkę lej!” — „Kiedy jeszcze nie październik!”.

— Do kata! — zawołała śmiejąc się królowa — zaśpiewajże coś obyczajniejszego!

— Dobrze, pani — rzekł Dioneo — tylko się nie gniewajcie, macie z czego wybierać, znam bowiem piosenek więcej niż tysiąc. Może chcecie tę: „Muszelecza moja mała” albo: „Tylko wolno, mój mężusiu”, lub tę wreszcie: „Koguta sobie kupiłam”?

Królowa rozsierdziła się wreszcie, chociaż inne się śmiały, i rzekła:

— Zaprzestań żartów, Dioneo, i zaśpiewaj nam jakąś miłą piosenkę, inaczej poznasz, że prawdziwie gniewną być umiem.

Dioneo, usłyszawszy to, porzucił figliki i szybko śpiewać zaczął:

Amorze, boskie światło,  
Co z oczu jej płomienną bije strugą,  
Zrobiło mnie wraz jej i twoim sługą!  
Z oczu jej płomień przeszedł w moje oczy.  
Ledwie ją spostrzegł, ledwie rzucił okiem,  
Jużem zgubiony!  
Wiem, jakieś hojny, władny i uroczy,  
Wiem — bo w obliczu jej żyjesz wcielony,  
Patrzysz jej wzrokiem.  
Widzisz więc, że się jej oddałem cały,  
Jej tylko żądam na świecie szerokim  
I ją jedynie posiąść chcę, zuchwały!  
Tak jest... odniosłeś zwycięstwo nade mną,  
O drogi panie, bądźże mi łaskawy!  
Nagródź mnie za to!  
Nie wiem, czy budzę w niej żądzę wzajemną,  
Czy wreszcie mojej stanie się zapłatą  
Miłości prawej,  
Lub czy... o Boże!... jakaż myśl straszliwa!  
Nie zechce dręczyć dla płochy zabawy  
Duszy, co do niej tęsknie się wrywa!  
Błagam cię tedy, o najmilszy panie,  
Odmaluj przed nią trwogę mą i troski  
I rzuć w jej łono  
Część tych płomieni, co w wieczystej ranie  
Mojego serca tak samotnie płoną  
Z twojej woli boskiej.  
Wiesz, ile cierpię! Leczę z mą żalobą  
I z mą nadzieją posłem do jej wioski.  
O, jakże chętnie pobiegłbym za tobą!

Gdy Dioneo umilkł, królowa wezwała jeszcze i innych do śpiewania, największe pochwały jednak Dioneowi oddała. Tymczasem minęła już znaczna część nocy. Królowa czując, że chłód nocny coraz jest przenikliwszy, wszystkim na spoczynek do jutra udac się kazała.

*Kończy się piąty dzień Dekameronu i zaczyna szósty, w którym pod przewodem Elizy opowiada się o tych, co trafnym powiedzeniem odparli przytyk w nich godzący albo ciętą odpowiedzią lub też nagłym postanowieniem uniknęli straty, niebezpieczeństwa czy wstydu.*

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-dzien-piaty>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Oftusek, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Zaytsev Artem@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://stronie.wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).